



1/10

I 481.704/13

REKOPIS ZNALEZIONY
W SARAGOSSIE.

BEKOPIS ZNALEZIONY

W SARAGOSSIE

ROMANS WYDANY POŚMIERTNIE

Z DZIEŁ

HR. JANA POTOCKIEGO.

TOM I.

Wydanie J. N. Bobrowicza.



LIPSK

NAKŁADEM KSIĘGARNI ZAGRANICZNEJ

(Librairie étrangère).

1847.

WYKONANIE ZPISÓW
W ZAKŁADZIE
WYDAWCTWA
W WARSZAWIE
W 1904 ROKU



Cim

I 481.704 / 1-3



RĘKOPIS ZNALEZIONY

W SARAGOSSIE.

Hrabia Olavidéz jeszcze nie był sprowadził osadników do gór Sierra Morena. Strome to pasmo które oddziela Andaluzją od Mancy, zamieszkiwali w ówczas kontrabandziści, rozbójnicy i kilku cyganów o których mówiono że pożerali ciała zabitych wędrowców. Ztąd nawet poszło hiszpańskie przysłowie: *Las Gitanas de Sierra Moréna quieren carne de hombres.* — Nie dość na tem. Podróżny który odważał się zapuszczać w tę dziką okolicę napastowany był (jak mówiono) przez tysięczne okropności, na widok których drżała najzimniejsza odwaga. Słyszał płaczliwe głosy mieszające się z hukami potoków, wśród poświstu burzy mamiły go błędne ogniki, a niewidome ręce popychały w bezdenne przepaście.

Wprawdzie można było czasami znaleźć na tej strasznej drodze jaką Ventę czyli samotną gospodę, ale duchy, bardziej djabelskie niż sami oberżyści, zmusiły tych ostatnich do ustąpienia im miejsca i oddalenia się w kraje gdzie jedynie głos ich sumienia przerywał im spoczynek, a z dwojga złego jedno wybierając, oberżyści woleli z tym drugim mieć do czynienia. Sam gospodarz z Anduhar zaświadczał się ś. Jakubem z Kompostelli, że w opowiadaniach tych żadnego fałszu nie było. Nakoniec dodawał, że zbiry świętej Hermandady zawsze wymawiali się od wycieczek w góry Sierra Morena, podróżni zaś przekładali jechać na Jaen lub Estremadurę.

— Odpowiedziałem mu na to, że ten wybór mógł przypadać do smaku podróżnym zwyczajnego rodzaju, ale że gdy król Don Phélope quinto raczył zaszczycić mnie godnością kapitana w gwardyi wallońskiej, święte prawa honoru nakazywały mi udać się najkrótszą drogą do Madrytu, chociażby takowa była razem najniebezpieczniejszą.

« Młody Panie — odparł gospodarz — Wasza Miłość dozwoli mi zwrócić uwagę, że jeżeli król zaszczycił was stopniem kapitana zanim najlżejszy mech nieuczynił tego sa-

meo zaszczytu brodzie Waszej Miłości, słusznem byłoby przedewszystkiem dać dowody roztropności, tem bardziej że skoro złe duchy raz się do jakiego miejsca przywiążą...» Byłby mi jeszcze więcej nabredził, ale spiąłem konia ostrogami i wtedy dopiero zatrzymałem się gdy m sądził że mnie już słowa jego nie dojdą. Natenczas obróciwszy się dostrzegłem go wywijającego rękami i wskazującego mi drogę na Estremadurę. Służący mój Lopez i przewodnik Moskito, poglądali na mnie litościwym wzrokiem który zdawał się potwierdzać przestrogi oberżysty. Udałem jakoby nic tego nie rozumiał i zapuściłem się między zarośle gdzie następnie założono osadę nazwaną *Carlota*.

Na miejscu gdzie dziś stoi dom pocztowy, znajdowało się w ówczas schronienie znane od mulników i nazwane *Los Alcornos* czyli « Zielone dęby, » z powodu że dwa piękne drzewa tego rodzaju ocieniały obfite źródło ocembrowane białym marmurem. Była to jedyna woda i jedyny cień jaki można było napotkać od Anduhar aż do gospody *Venta Quemada*, obszernej i wygodnej, chociaż wystawionej pośród pustyni. Właściwie mówiąc, był to zamek maurytański który Margrabia

Penna Quemada kazał wyporządzić i ztąd nazwano go Venta Quemada. Margrabia wynajął go następnie pewnemu mieszkańcowi z Murcyi który w nim założył najznacniejszą w całym trakcie gospodę. Podróźni więc wyjeżdżali rano z Anduhar, obiadowali w Los Alcornoques zapasami jakie ze sobą przywieźli, i udawali się na nocleg do Venta Quemada. Tam często następny dzień przepędzali, ażeby przygotować się do przebycia gór i zaopatrzyć w nowe zapasy.

Taki był plan i mojej podróży.

Ale właśnie gdy zbliżaliśmy się do zielonych dębów i wspominałem Lopezowi o potrzebie posiłku, spostrzegłem że Moskito znikł nam wraz z mułem ojuczonym wszystkimi zapasami. Lopez odrzekł mi że przewodnik pozostał kilka staj za nami aby poprawić coś przy jukach. Czekaliśmy na niego, postąpiliśmy kilka kroków naprzód potem znowu zatrzymaliśmy się, wołaliśmy, wróciliśmy tą samą drogą aby go wynaleźć, ale wszystko napróżno.

Moskito znikł i uniósł z sobą nasze najdroższe nadzieje, to jest cały obiad. Ja sam tylko byłem na czczo, Lopez bowiem przez cały czas zajadał ser z Tobozo który wziął

ze sobą na drogę, mimo to jednak bynajmniej niebył weselszym odemnie i mruczał między zębami, że gospodarz z Anduhar miał słusność i że pewno złe duchy porwały biednego Moskita.

Przybywszy do Alcornoques ujrzałem przy źródle koszyk nakryty winnym liściem; musiały w nim być owoce zapomniane przez jakiego podróźnego. Ciekawie pograżyłem weń rękę i z przyjemnością znalazłem cztery piękne figi i pomarańczę. Ofiarowałem dwie figi Lopezowi, ale podziękował mi mówiąc, że woli poczekać do wieczora. Zjadłem więc sam wszystko i następnie chciałem napić się wody ze źródła. Lopez wstrzymał mnie, do-
wodząc że woda szkodzi po owocach i podał mi trocha pozostałego mu jeszcze Alikantu. Przyjąłem jego ofiarę, ale zaledwie uczułem wino w żołądku gdym doznał nagłego ściśnienia serca, i byłbym niezawodnie zemdłał gdyby Lopez niebył mi pośpieszył na pomoc. Otrzeźwił mnie mówiąc że niepowinienem się dziwić i że stan ten pochodził z czczości i znurzenia. W istocie nie tylko odzyskałem siły ale nawet czułem się w stanie nadzwyczajnego rozdrażnienia. Okolica zdawała się połyskiwać tysiącnymi barwami,

przedmioty zaiskrzyły się w mych oczach jak gwiazdy podczas letniej nocy i krew zaczęła mi bić gwałtownie zwłaszcza na szyi i skroniach.

Lopes widząc żem przyszedł do siebie jął znowu rozwodzić narzekania: «Niestety — mówił — dla czegożem nie radził się Fra Hieronimo della Trinidad, mnicha, kaznodzieję, spowiednika i wyrocznie naszej rodziny; niedarmo jest on szwagrem pasierba świekry ojczyrna mojej macochy, a tak będąc naszym najbliższym krewnym niepozwała aby co stało się w domu bez jego porady. Nie chciałem go słuchać i dobrze mi teraz. Jednakże często mi powiadał, że officerowie z gwardyi wallońskiej byli narodem heretyckim, co też łatwo poznać po ich jasnych włosach, błękitnych oczach i czerwonych policzkach, wtedy gdy reszta uczciwych chrześcijan jest koloru Madony z Atocha malowanej przez świętego Łukasza.»

Wstrzymałem ten potok zuchwałstw, rozkazując Lopezowi podać mi dubeltówkę i pozostać przy koniach, podczas gdy sam chciałem się wdrapać na góry w nadziei że odkryję zabłąkanego Moskita. Na te słowa Lopez zalał się łzami i rzucając się do mych nóg, zaklinał na imiona wszystkich świętych

aby go nie zostawiać samego w tak niebezpiecznem miejscu. Chciałem więc sam przypilnować koni a jego posłać na wyszukanie Moskita, ale ten zamiar jeszcze bardziej go przestraszał. Nakoniec przytoczyłem mu tyle dobrych przyczyn, że wreszcie pozwolił mi odejść i dobywszy z kieszeni różańca począł żarliwie się modlić.

Wierzchołki gór na które miałem zamiar wejść, były bardziej oddalone nizeli na pierwszy rzut oka mniemałem, i zaledwie po godzinie pochodu zdołałem na nie się dostać. Stanawszy na szczycie ujrzałem pod sobą dziką i pustą płaszczyznę, żadnego śladu ludzi, zwierząt lub jakiego mieszkania, żadnej drogi prócz tej którą przyszedłem, i dokoła głucho milczenie. Przerwałem je wołaniem — echo mi tylko odpowiedziało w oddali. Nakoniec wróciłem do źródła, znalazłem mego konia przywiązanego do drzewa ale Lopez znikł bez żadnego śladu. Miałem dwie drogi przed sobą: albo wrócić do Anduhar, albo puścić się w dalszą podróż. Uskutecznienie pierwszego zamiaru nie przyszło mi wcale na myśl, dosiadłem więc konia i puściwszy go wyciągniętym klusem, po dwóch godzinach przybyłem nad brzegi Guad-al-Quiwiru, który

tam wcale nie roztacza się tem spokojnem i wspaniałem korytem jakim oblewa mury Sewilli. Guad-al-Quiwir przy wypływie z gór pędzi bystrym potokiem bez dna i brzegów, i tłucze fale o skały które mu co chwila w biegu zawadzają.

Dolina Los Hermanos zaczyna się w miejscu z kądem Guad-al-Quiwir rozlewa się po płaszczynie. Dolina wzięła nazwę od trzech braci, których wspólna skłonność do rozbojów łączyła daleko więcej niż stosunki pokrewieństwa. Miejsce to długo było widownią niecných ich postępów. Z trzech braci, dwóch pojmano, i przy wejściu do doliny można było widzieć ciała ich bujające na szubienicach, trzeci zaś nazwiskiem Zoto uciekł z więzień Kordowy i jak mówiono, schronił się w paśmie Alpuhary.

Dziwne wieści rozpowiadano o dwóch powieszonych braciach; wprawdzie nie mówiono żeby byli upiorami, ale utrzymywano że nieraz w nocy, ciała ich ożywione szatańską potęgą odwiązywały się z szubienic i niepokoiły żyjących. Tę pogrozkę za tak pewną uważano, że pewien teolog z Salamanki napisał obszerny traktat w którym dowodził, że wiśielcy sprowadzeni byli do stanu widmowego,

czego już nieraz w świecie widziano przykłady, tak że nakoniec najsilniej wątpiący zmuszeni byli uwierzyć. Chodziły także pogłoski, że potępiono niewinnie tych dwóch skazanych, i że mszcząc się za pozwoleniem nieba, dręczyli podróżnych i innych przechodniów. Wiele nasłuchałem się o tem w Kordowie i ztąd zdjęła mnie ciekawość zbliżyć się do szubienicy. Widok ten był tem obrzydliwszy, że podczas gdy wiatr bujał ohydnie trupami, straszne sępy szarpały im wnętrzności i oskubywały z resztek ciała. Ze zgrozą odwróciłem oczy i zapuściłem się w góry.

Trzeba przyznać że dolina Los Hermanos, zdawała się nader przyjazną dla zbójcekich przedsięwzięć, zewsząd bowiem zabezpieczała złoczyńcom miejsca schronienia. Co chwila zatrzymywały podróżnego z gór odwalone skały lub odwieczne drzewa wywrócone przez burze. W wielu miejscach droga przecinała łożysko potoku i mijała głębokie jaskinie których sam widok, nieufność obudzał. Przebywszy tę dolinę wszedłem w drugą i dostrzegłem gospodę w której miałem szukać przytułku, ale z dala już powierzchowność jej nic dobrego mi nie wróżyła. Rozpoznałem że niebyło okien ani okiennic, dym nie buchał

z komina, żadnego ruchu dokoła nie było widać i żaden pies nieoznajmiał mojego przybycia. Ztąd wniosłem że gospoda ta była jedną z tych jakie, według powieści oberżysty z Anduhar, opuszczono raz na zawsze.

Im więcej zbliżałem się do gospody tem milczenie głębszem mi się zdawało. Nareszcie przybyłem i ujrzałem przy wejściu pień przeznaczony do zbierania jałmużn, na którym wyczytałem następujący napis: « Panowie po-
« dróżni, módlcie się przez miłosierdzie za
« duszę Gonzaleza z Murcyi, dawnego gospo-
« darza z Venta Quemada. Nadewszystko
« mijajcie to miejsce i pod żadnym warun-
« kiem nie przepędzajcie tu nocy. »

Postanowiłem śmiało oczekiwać niebezpieczeństw jakimi ten napis zagrażał, wcale nie dla tego abym niebył przekonany o istnieniu duchów, ale jak dalszy ciąg tej historii pokaże, w całym mojem wychowaniu najwięcej zwrócono uwagę na wyrobienie we mnie uczucia własnego honoru.

Słońce nie było jeszcze zupełnie zaszło i korzystałem z ostatnich jego promieni aby obejrzeć to mieszkanie, prawdę mówiąc, nie tyle dla zabezpieczenia się przeciw potęgomi piekielnym, jak raczej dla wyna-

lezienia jakiej żywności, gdyż ta drobnostka którą znalazłem był w Alcornoques, za ledwie na chwilę mogła wstrzymać ale nigdy zaspokoić głodu jaki mnie trawił. Przeszedłem przez kilka izb i obszernych komnat. Większą część zdołała mozaika do wysokości człowieka, sufity zaś pokrywały wspaniałe rzeźby, jakimi przed laty słusznie szczylicili się Maurowie. Zwiedziłem kuchnię, poddasza i piwnice; te ostatnie wykute były w skale, niektóre z nich łączyły się z podziemiami które zdawały się daleko w głąb gór przedłużać, ale posilku nigdzie znaleźć nie mogłem. Wreszcie gdy poczęło się zmierzchać poszedłem po konia który dotąd przywiązany stał na podwórzu, zaprowadziłem go do stajni gdzie spostrzegł wiązkę siana, sam zaś udałem się do izby gdzie leżała garść słomy, jedyne posłanie jakie zostawiono w całej gospodzie. Pragnąłem zasnąć ale nadaremnie, a tu jak na przekorę nie tylko jadła ale i światła nie mogłem znaleźć.

Tymczasem im noc stawała się ciemniejszą tem moje myśli przybierały coraz czarniejszą barwę. To dumalem o nagłem zniknięciu moich dwóch służących, lub znowu

o sposobach jakimi mógłbym gdzie się posilić. Myślałem że złodzieje nagle wyszedłszy z krzaków lub jakiej kryjówki, schwytali Lopezę i Moskita, że zaś mnie bali się zaczepić widząc moją postać wojskową, która im bynajmniej nie obiecywała tak łatwego zwycięstwa.

Głód tłumił wszystkie moje uwagi, widziałem wprawdzie kozy na górach, bezwątpienia i pasterz musiał się przy nich znajdować i niepodobieństwem było żeby nie miał przy sobie mleka i chleba. Nadto liczyłem także na moją strzelbę. Ale za nic w świecie nie byłbym wrócił do Anduhar, tak dalece obawiałem się wystawić na szyderskie zapytania oberżysty. Postanowiłem bez wahania puścić się w dalszą drogę.

Wszystkie te uwagi były już wyczerpane, niemogłem wstrzymać się od powtórzenia w pamięci znanej historii fałszerzów monet, i wielu innych w podobnym rodzaju którymi kołysano moje dziecinne lata. Również przychodził mi na myśl napis umieszczony na pniu do jałmużn. Nieprzypuszczałem ażeby djabeł skręcił był kark przeszłemu oberżystcie, ale nie mogłem sobie wytlómaczyć jego smutnego zgonu.

Takim sposobem mijały godziny, gdy nagle zadrzałem na niespodziewany głos dzwonu. Usłyszałem dwanaście uderzeń, a jak wiadomo, złe duchy mają tylko władzę od północy do pierwszego piania koguta. W istocie mogłem być zdziwiony gdyż zegar nie bił poprzednich godzin, nareszcie dźwięk ten tętniał mi w uszach grobowo. Po chwili otworzyły się drzwi izby i ujrzałem wchodzącą czarną postać ale bynajmniej nie straszna, była to bowiem piękna do pół naga murzynka z pochodnią w każdej ręce.

Murzynka zbliżyła się, złożyła mi głęboki ukłon i temi słowy odezwała się w czystym hiszpańskim języku: « Senor kawalerze, dwie cudzoziemki które przepędzają noc w tej gospodzie, proszą abyś raczył podzielić z nimi wieczerzę. Racz udać się za mną. » Pośpieszyłem za murzynką i przeszedłszy kilka kurytarzy znalazłem się w rzęsiście oświeconej komnacie, pośród której stał stół z trzema nakryciami, uginający się pod japońską porcelaną i puhanami z górnego kryształu. W głębi komnaty wznosiło się wspaniałe łoże. Kilka innych murzynek krzątało się pilnie wedle służby, ale nagle rozstały się we dwa szeregi i ujrzałem wcho-



dzące dwie kobiety; pleć ich z róż i lilji utkana dziwnie odbijała się od czarnej barwy ich powiernic. Obie młode kobiety trzymały się za ręce. Szczególnie były ubrane, przynajmniej tak mi się wydało, aczkolwiek później w dalszych moich podróżach przekonałem się, że był to zwykły strój jakiego używano na brzegach barbarzyjskich. Ubiór ten składał się ze zwierzchniej szaty i gorsetu. Suknia, czyli raczej tunika z ciemnego płótna nie dochodziła całkiem do kolan, dalej zaś aż do kostek, składała się z gazy z Méquinez, tkaniny prawie zupełnie przezroczystej, gdyby szerokie wstęgi jedwabne jedne obok drugich spływające nie zasłaniały wdzięków które tyle pod tem lekkim pokryciem zyskiwały. Gorset bogato perlami haftowany i zdobny w dyamentowe zapinki, szczerwie więził śnieżyste łono — rękawy zaś od kostki, także gazowe, związane były na plecach. Kosztowne bransolety pokrywały ich ramiona. Nóżki tych nieznanomych — nóżki powtarzam, które winny były być pokrzywione i zakończone szponami, gdyby były do złych duchów należały, przeciwnie, skrywały drobne paluszki w małych wschodnich papuciach. — Obrączki dyamentowe otaczały je przy kostkach.



Nieznajome zbliżyły się ku mnie z uprzedzającym uśmiechem. Każda z nich była w odmiennym rodzaju doskonałą pięknnością. Jedna wysoka, giętka, wspaniała, druga zaś mniejsza ale za to łagodna i bojaźliwa.

Kibić i rysy starszej na pierwszy rzut oka zadziwiały regularnością. Młodsza była bardziej ujmująca i zachwycała drobnymi usteczkami, i niezwykłym blaskiem oczu cienionych długimi jedwabnymi rzęsami. Starsza temi słowy odezwała się do mnie w czystym kastylskim narzeczu: « Senor kawalerze, dziękujemy ci za uprzejmość z jaką raczyłeś przyjąć tę skromną wieczerzę. — Mniemam że czujesz jej potrzebę. » Ostatnie te słowa wyrzekła z tak złośliwym uśmiechem że w tej chwili posądziłem ją o nakazanie wprowadzenia mego muła z zapasami. W każdym jednak razie niemożna było się gniewać; strata moja sownie była wynadgródzona.

Siedliśmy do stołu, i ta sama kobieta rzekła przysuwając naczynie z japońskiej porcelany: « Senor kawalerze, znajdziesz tu Ollapodrida złożoną z mięs wszelkiego rodzaju, oprócz jednego, gdyż my jesteśmy wierne, czyli wyraźniej mówiąc, Muzułmanki. » — « Piękna cudzoziemko, — odpowiedziałem,

— bezwątpienia prawdę wyrzekłaś, komuż słuszniej przystoi mówić o wierności? jestto religija serc prawdziwie kochających. Wszelako zanim zaspokoicie mój głód, raczcie uczynić to naprzód z moją ciekawością i powiedzcie mi kto jesteście?» — «Jedz tymczasem, Senorze — odparła piękna Maurytanka — dla ciebie nie mamy żadnych tajemnic. Nazywam się Emina a moja siostra Zibelda, mieszkamy w Tunisi, ale nasza rodzina pochodzi z Grenady i niektórzy z naszych krewnych zostali w Hiszpanji gdzie pokryjomu wyznają wiarę ojców. Ośm dni temu jak opuściliśmy Tunisi i wylądowałyśmy na pustym brzegu blisko Malagi. Następnie przybyłyśmy między Sohha i Antequerra, wreszcie dostałyśmy się tutaj aby zmienić ubiór i zabezpieczyć się przeciw poszukiwaniom. Widzisz zatem Senor że nasza podróż jest ważną tajemnicą którą powierzamy twojej uczciwości.» Zapewniłem piękne podróżniczki że z mojej strony nie mają się czego obawiać i zacząłem się posilać, wprawdzie nieco żarłocznie, zawsze jednak z pewnym wdziękiem, o jakim nigdy niezapomina młody człowiek gdy sam jeden znajduje się w towarzystwie kobiet.

Gdy spostrzeżono zem pierwszy głód zaspokoili i że zabierałem się do tego co nazywają w Hiszpanji *Las Dolces*, piękna Emina rozkazała murzynkom aby mi pokazały jak w ich ojczyźnie tańczą. Zdawało się że żaden rozkaz niemógł być dla nich przyjemniejszym. Wypełniły go z żywością która nawet cokolwiek przechodziła w swawolę. Zapewne niebylbym nigdy w stanie położyć koniec tym płasom, gdybym nie był zapytał piękne nieznajome czyli one także czasami oddawały się tej rozrywce. Za całą odpowiedź powstały i kazały sobie podać kastaniety. Taniec ich trzymał środek między Bolero i Foffą które tańczą w Algarwach. Ci którzy zwiedzali te kraje chociaż łatwo mogą sobie przypomnieć te poruszenia, jednakże nigdy nie zdołają pojąć uroku jaki dodawały im wdzięki dwóch Afrykanek, osłonięte przezroczytymi fałdy spływającymi po nadobnych kibiciach.

Długo, spokojnie poglądałem na zachwycające tańcerki, nakoniec poruszenia ich coraz gwałtowniejsze, odurzający dźwięk maurytańskiej muzyki, rozognione zmysły obfitym posiłkiem, wszystko to razem mimowolnie w nieznanym dotąd obłędzie porывało mnie. W istocie

niewiedziałem czy to były kobiety lub też podstępne jakie widziadła. Nieśmiałem spojrzeć, zakryłem dłonią oczy i w tej chwili uczułem że tracę przytomność.

Obie siostry zbliżyły się do mnie i każda z nich ujęła mnie za rękę. Emina troskliwie dowiadywała się o moje zdrowie; zaspokoilem ją. Zibelda tymczasem pytała cobyto był za medalion który spoczywał na moich piersiach — zapewne wizerunek kochanki? — « Jestto klejnot, odpowiedziałem, który mam od matki i którego obiecałem nigdy niezdejmować; zawiera on cząstkę prawdziwego krzyża. » Na te słowa Zibelda cofnęła się i zbladła.

« Trwożysz się, — mówiłem dalej, — przecież złe duchy tylko lękają się krzyża. » Emina odpowiedziała za siostrę: « Senor kawalerze, wiesz że jesteśmy Muzułmankami, i nie powinienś dziwić się nad przykrością jaką ci mimowolnie moja siostra sprawiła. Wyznaję że tego samego jestem zdania i przykro nam że najbliższy nasz krewny wyznaje wiarę Chrystusa. Ta mowa cię zadziwia — ale wszakże twoja matka rodzi się z Gomelezów? my także należymy do tej rodziny która wie dzie ród swój od Abenseragów — ale siądźmy na tej sofie a więcej ci opowiem. »

Murzynki oddaliły się. Emina posadziła mnie w kącie sofy i podwinawszy nogi pod siebie, usiadła przy mnie. Zibelda położyła się z drugiej strony, wsparła na mojej poduszce i tak blisko byliśmy jedno od drugiego, że nasze oddechy razem się mięszały. Emina zdawała się dumać przez chwilę, następnie rzucając na mnie wejrzenie pełne uczucia wzięła mnie za rękę i w te słowa zaczęła:

« Wcale nie pragnę ukrywać przed tobą kochany Alfonsie, że nie prosty przypadek nas tu sprowadza. Czekaliśmy tu na ciebie, a gdybyś powodowany bojaźnią obrał inną drogę, byłbyś na zawsze postradał nasz szacunek. »

« Pochlebiasz mi piękna Emino, — odrzekłem, — i nie pojmuję dla czego cię tak zajmuje moja odwaga. »

« Twoja osoba nader nas zajmuje, — mówiła dalej Maurytanka, — ale może mniej ci będzie pochlebiać gdy się dowiesz że jesteś pierwszym mężczyzną jakiego w życiu spotykamy. Dziwią cię moje słowa i zdajesz się powątpiewać o ich prawdzie. Obiecałam ci opowiedzieć historią naszych przodków, ale zapewne lepiej będzie gdy zacznę przez własną.

« Ojcem naszym jest Jazir Gomelez wuj pa-

nującego dziś Deja w Tunis. Niemiałyśmy brata, nieznałyśmy nigdy ojca a od pierwszych lat będąc zamkniętymi w murach seraju, zbywało nam na najniższym o waszej płci pojęciu. Natura jednak obdarzyła nas niewypowiedzianą skłonnością do miłości i w braku innych osób pokochałyśmy się wzajemnie. Przywiązanie to zaczęło się od pierwszych lat dzieciennych. Płakałyśmy gdy chciano nas chociaż na chwilę rozdzielić. W dzień bawiliśmy się przy jednym stoliku a w nocy podzielałyśmy jedno posłanie. To tak żywe uczucie zdawało się razem z nami wzrastać i nowych sił nabrało przez okoliczność którą ci opowiem. Miałam w tedy 16 lat a moja siostra 14. Oddawna uważałyśmy że nasza matka pilnie przed nami niektóre książki chowała. Z początku zwracałyśmy na to mało uwagę i tak dość już znudzone książkami na których nas czytać uczono, ale z wiekiem przyszła nam ciekawość. Wypatrzyłyśmy chwilę gdzie zakazana szafka była otwartą i szybko porwałyśmy mały tomik który opisywał: Miłostki Medzenuna i Leili tłumaczone z perskiego przez Ben-Omri. To zachwycające dzieło, ognistemi barwami malujące rozkosze miłości,

zapaliło nasze młode głowy. Niemogliśmy ich zrozumieć, niewidząc nigdy osób waszej płci, ale powtarzałyśmy sobie nowe dla nas wyrażenia. Przemawiałyśmy mową kochanków i nakoniec zapragnęłyśmy kochać się ich sposobem. Ja wzięłam na siebie rolę Medzenuna, siostra zaś moja Leili. Naprzód oświadczyłam jej moją namiętność układając kwiaty w bukietcie. Jest to rodzaj wzajemnego porozumienia się w całej Azji używany; następnie rzucałam jej pełne ognia spojrzenia, padałam przed nią na kolana, całowałam ślady jej stóp, zaklinałam wietrzyk aby jej moje żale zanosił, i chciałam go rozplomienić gorącemi westchnieniami.

Zibelda wierna naukom swego mistrza, znaczyła mi schadzkę. Upadłam jej do nóg, ścisłałam ją za ręce, oblewałam łzami jej nogi. Kochanka moja z początku lekki opór stawiała, po chwili jednak dozwalała mi ukraść kilka pocałunków i wreszcie podzielała zupełnie wrzące moje uczucia.

Dusze nasze zdawały się razem zlewać i doskonalszego szczęścia nie pojmowałyśmy. Nie pamiętam jak długo bawily nas te dziecinne igraszki, ale niebawem gwałtowność naszych uczuć znacznie się uspokoiła.

Powzięliśmy chęć do niektórych nauk, szczególnie zaś do znajomości roślin o przymiotach których, jak wiesz, sławny Averroes napisał ogromne dzieło.

Matka moja w przekonaniu że niemożna dość się uzbroić przeciw nudom seraju, z przyjemnością poglądała na nasze zatrudnienia i chcąc nam ułatwić naukę, kazała sprowadzić z Mekki świętą niewiastę nazwaną *Hazareta*, czyli świętą świętych. Hazareta uczyła nas praw proroka i wykladała nam nauki tym czystym i melodyjnym językiem, jakiego używa dziś jedno tylko pokolenie Horeisz. Niemogliśmy dość się jej nasłuchać i niebawem umiałyśmy cały koran na pamięć. Następnie nasza matka opowiadała nam historią naszej rodziny i udzieliła nam mnóstwo pamiątek, z których jedne były pisane po arabsku, inne zaś po hiszpańsku. Drogi Alfonsie, niewierzysz jak nam zbrzydła wasza religia, jak zniechędziłyśmy jej kapłanów. Z drugiej za to strony koleje i nieszczęścia rodziny, której krew w żyłach naszych płynęła, niesłuchanie nas zajmowały. Raz unosiłyśmy się nad Saidem Gomelezem, który cierpiał męczeństwa w więzieniach inkwizycyi, to znowu nad jego synowcem Leis-

sem, który długi czas prowadził w górach życie dzikie i mało różne od zwierząt drapieżnych. Takowe opisy obudziły w nas ciekawość mężczyzn, chcieliśmy ich widzieć, i często wstępowałyśmy na taras ogrodowy aby choć z daleka spostrzedz majtków okretowych lub wiernych śpieszących do kąpieli Haman Nefu. Chociaż niezapomniałyśmy nauk zakochanego Medzenuna, jednak odtąd nigdy już więcej ich nie powtarzałyśmy. Mnie miałam nawet, że w uczuciu mojem dla siostry wygasła zupełnie namiętność, gdy wtem nowy wypadek przekonał mnie że się myliłam.

Pewnego dnia, matka nasza przyprowadziła nam jakąś księżnę z Tafiletu, kobietę podeszłą już w lata. Przyjęłyśmy ją jak można najlepiej. Po skończonych odwiedzinach, matka oznajmiła mi że księżna żądała mnie w zamęcie dla swego syna, moja siostra zaś przeznaczona była za żonę jednemu z Gomelezów. Wiadomość ta gromem nas razila. Naprzód niemogliśmy słowa jednego wymówić, później nieszczęście tego rozdzielienia tak żywo przedstawiło się przed naszymi oczyma, żeśmy się oddały najgwałtowniejszej rozpacz. Wyrzywałyśmy sobie włosy i cały seraj

rozlegał się naszymi krzykami. Nareszcie gdy te oznaki naszej boleści zaczęły przechodzić w szaleństwo, matka nasza przeleżała obiecała nas nie przymuszać, i zaręczyła nam wolność zostania dziewczętami, lub zaślubienia tego samego mężczyzny. Te zapewnienia na jakiś czas nas uspokoiły.

Wkrótce potem matka przyszła nam powiedzieć, że mówiła z naczelnikiem naszej rodziny, i że ten zezwolił abyśmy były poślubione jednemu mężowi z warunkiem, aby ten małżonek pochodził z rodziny Gomelezów.

Nic na to nie odrzekliśmy, ale ta myśl posiadania jednego męża, z każdym dniem bardziej nam się uśmiechała. Dotąd niewidziałyśmy ani starego ani młodego mężczyzny chyba bardzo z daleka; ale ponieważ młode kobiety zdawały nam się przyjemniejszymi niż stare, pragnęłyśmy przeto aby nasz małżonek był także młodym. Spodziewaliśmy się że nam potrafi wytłumaczyć niektóre ustępy z książki Ben-Omri, których same niebyłyśmy w stanie zrozumieć »

Tu Zibelda przerwała siostrze i ściskając mnie w objęciach, rzekła:

« Kochany Alfonsie, czemuż nie jesteś Muzułmanem, jakże byłabym szczęśliwą gdybym

widząc cię na łonie Eminy mogła także nazywać się twoją małżonką, gdyż w naszym domu równie jak w rodzinie proroka, córki mają prawo do dziedzictwa. Od ciebie więc może zależy zostać naczelnikiem naszej rodziny która już chyli się ku upadkowi. Dość byłoby do tego otworzyć serce świętym promieniom naszego wyznania. »

Słowa te tak mi się wydały podobnymi do pokus djabelskich, że upatrywałem tylko czy nie dojrzę śladów rożków na pięknem czole Zibeldy. Przebaknąłem kilka słów o świętości mojej religii. Obie siostry cofnęły się odemnie. Twarz Eminy przybrała wyraz powagi, poczem piękna Maurytanka tak dalej mówiła: « Senor kawalerze, zbyt wiele rozszerzyłam się nad sobą i Zibeldą. To niebyło moim zamiarem, usiadłam obok ciebie aby ci powiedzieć szczegóły dotyczące rodziny Gomelezów z których pochodzisz przez kobiety. Oto jest właśnie to o czem chciałam abyś się dowiedział: »

HISTORIA ZAMKU KASSAR - GOMELEZ.

Pierwszą głową naszej rodziny był Masud-Ben-Taheer, brat Jussufa-Ben-Taheer, który

wkroczył do Hiszpanji na czele Arabów i nadał swoje nazwisko górze Gebal-Taher, czyli jak wy wymawiacie, Gibraltar. Massud wiele przyczyniwszy się do powodzenia arabskiej broni, otrzymał od kalifa Bagdadu zwierzchnictwo nad Grenadą, które sprawował aż do śmierci swego brata. Byłby na tym urzędzie dłużej pozostał, gdyż nader był szanowany tak od muzułmanów, jak od mossarabów czyli chrześcijan pod panowaniem maurów pozostałych; ale Massud miał potężnych nieprzyjaciół w Bagdadzie którzy go oczernili przed kalifem. Dowiedział się że zguba jego była nieuchronną i sam postanowił się oddać. Zebrał więc gąstkę wiernych i zapuścił się w Alpuhary, które, jak wiesz, są dalszem pasmem Sierra-Morena i oddzielają królestwo Grenady od Walencji. Wissygotowie na których zdobyliśmy Hiszpanią nie przedarli się nigdy w Alpuhary; większa część dolin była zupełnie opuszczoną. Tylko trzy z nich zamieszkiwali potomkowie dawnego ludu hiszpańskiego nazwani Turdulami. Nieznali oni ani Mahometa ani twojego proroka Nazarejskiego, zasady ich religji i praw zawarte były w pieśniach, które ojcowie dzieciom przekazywali. Mieli kiedyś księgi, ale to

z czasem zupełnie wyginęły. Massud owładnął Turdulami bardziej przekonaniem niż siłą, nauczył ich swego języka i zasad islamizmu. Oba ludy zmieszały się przez wzajemne małżeństwa, i temu to zlaniu szczepów jako też powietrza gór, winnyśmy z moją siostrą tę ożywioną pleć, jaka odznacza córki Gomeleza. Można wprawdzie i u Maurów natknąć wiele białych kobiet; ale te zwykle są blade.

Massud przyjął tytuł szejka i rozkazał wznieść warowny zamek, który nazwał Kaszar-Gomelez. Bardziej sędzia niż władzca swego pokolenia, Massud dla każdego był przystępnym, drzwi jego zarówno dla wszystkich się otwierały, tylko w ostatni piątek każdego księżyca zęgnął się z rodziną, schodził do zamkowego podziemia i tam zamknięty cały tydzień przepędzał. Te znikania daly powód do rozmaitych wniosków. Jedni utrzymywali, że szejka prowadził rozmowy z dwunastym Imanem, który ma zjawić się ma końcu świata; drudzy zaś, że Antychryst siedział uwięziony w podziemiu, ostatni wreszcie dowodzili, że siedmiu braci śpiących tam spoczywało wraz z wiernym psem ich Kalebem. Szejka wcale na te domy-

sły nie zważał, ale ciągle rządził swoim ludem ó ile mu siły wystarczały. Nakoniec wybrał najroztropniejszego z całego pokolenia, mianował go następcą, oddał mu klucz od podziemia i sam schronił się do pustelni gdzie jeszcze długo żył lata.

Nowy szejik rządził w duchu swego poprzednika i również zniknął ostatniego piątku każdego miesiąca. Ten stan rzeczy trwał dopóty, póki Kordowa nie otrzymała swoich kalifów, zupełnie niezawisłych od władców Bagdadu. Natenczas górale Alpuhary, którzy mieli czynny udział w tych zmianach, zaczęli osiedlać się na płaszczynach, gdzie wkrótce zasłynęli pod nazwą Abenseragów. Inni zaś, którzy pozostali wiernymi Szejikowi z Kassar-Gomelez, zatrzymali miano Gomelezów.

Tymczasem Abenseragi zakupili najbogatsze posiadłości w królestwie Grenady i najwspanialsze pałace miasta. Zbytek ich zwrócił powszechną uwagę. Powzięto podejrzenie że podziemie Szejików zawierało nieprzebrane bogactwa, ale nikt nie był w stanie sprawdzić tego mniemania, gdyż sami Abenseragi nie znali źródła swych skarbów. Wreszcie gdy piękne te królestwa ściągnęły na siebie gniew boży, Allah podał je w ręce niewier-

nych. Dobyto szturmem Grenady, i w kilka dni potem sławny Gonzalw z Kordowy na czele trzech tysięcy Hiszpanów wkroczył w Alpuhary. Hatem Gomelez był wtedy Szejikiem naszego pokolenia. Wyszedł więc naprzeciw Gonzalwa i wręczył mu klucze od zamku. Hiszpan zażądał kluczy od podziemia, Szejik i te mu natychmiast przyniósł. Gonzalw osobiście zszedł do podziemia, zamiast skarbów znalazł grobowiec i kilka starych ksiąg, drwił głośno z czczych domysłów swoich rodaków i pośpieszył napowrót do Valladolid gdzie go wzywali miłość i miłostki.

Aż do wstąpienia na tron Karola, pokój trwał w naszych górach nieprzerwanie. Sefi-Gomelez był wtedy był Szejikiem. Człowiek ten z niewiadomych przyczyn, doniósł Cesarzowi że pragnie odkryć mu ważną tajemnicę, jeżeliby Karol chciał przysłać w Alpuhary jakiego znakomitego Hiszpana, w którymby pokładał całe zaufanie.

Za nim piętnaście dni upłynęło, Don Ruys z Toledo, jako poseł cesarski, stawił się u Gomelezów, ale znalazł Szejika nieżywego. Zamordowano go w wiliję przyjazdu posła.

Don Ruys zaczął przesładować kilka osób,

ale znudzony próżnemi usiłowaniami powrócił do Madrytu.

Tym sposobem tajemnica Szeików przeszła do mordercy Sefiego. Ten człowiek nazwiskiem Billah-Gomelez zgromadził starszych pokolenia i przedstawił im potrzebę zabezpieczenia tak ważnej tajemnicy. Postanowiono żeby zawiadomić o tem kilku członków z rodziny Gomelezów, tak jednak, aby każdy z nich wiedział tylko o jednej części tajemnicy. Wybrani, powinni byli dać dowody nieustraszonej odwagi, roztropności i wiary.» —

Tutaj Zibelda znowu przerwała siostrze mówiąc: «Kochana Emino, czy nie sądzisz że Alfons byłby przetrwał te wszystkie próby? Ach któż śmie o tem wątpić. Drogi Alfonsie, jaka szkoda że nie jesteś Muzułmanem, bezwątpienia stalbyś się panem nieprzeliczonych skarbów.» To zupełnie wyglądało na nową pokusę. Duch ciemności nie mogąc znieść mnie rozkoszą, starał się obudzić we mnie żądzę złota. Ale tymczasem piękne Maurytanki przytuliły się do mnie i uczulem wyraźnie dotknięcie ciał żywych nie zaś cieni. Po chwili milczenia Emina tak dalek mówiła:

«Kochany Alfonsie, wiesz dobrze o przesławieniach jakich doświadczyło nasze pokolenie za panowania Filipa syna Korolowego. Porywano dzieci, wychowywano je w wierze Chrystusa, i oddawano im majątki rodziców którzy niechcieli porzucić wyznania ojców. Wtedy to jeden z Gomelezów został przyjętym do Teketu Derwiszów ś. Dominika i dostąpił godności Wielkiego Inkwizytora.»

Tu usłyszeliśmy pianie koguta i Emina przestała mówić. Kogut jeszcze raz zapiął, ... Człowiek przesądny byłby spodziewał się że dwie piękności nagle dymnikiem ulecą. To jednak wcale nie nastąpiło, ale nieznajome zasępiły się nagle i pograżyły w dumaniach.

Emina pierwsza przerwała milczenie. «Luby Alfonsie, rzekła, już dzień zaczyna, zbyt drogie godziny które możemy z tobą przepędzić, abyśmy mieli trwonić je na opowiadaniu dawnych dziejów. Niemożemy zostać twemi małżonkami chyba że uznasz prawo proroka. Ale wolno ci będzie widzieć nas we śnie. Przystajesz na to?..»

Zgodziłem się na wszystko. «Niedość na tem, — rzekła Emina z wyrazem najwyższej godności — nie dość na tem kochany Alfon-

sie, trzeba jeszcze byś przysiągł na najświętsze zasady honoru, że nigdy nie zdradzisz tajemnicy o naszych imionach, naszym istnieniu, i tem wszystkim co wiesz o nas. Czy odważasz się przyjąć na siebie ten obowiązek ? »

Przyrzekłem spełnić wszystko czego ode mnie żądano.

« To dobrze, — rzekła Emina — teraz siostrze przynieś czarę poświęconą przez Masuda, głowę naszego pokolenia. » Podczas gdy Zibelda poszła po zaklętą czarę, Emina uklękała i odmawiała arabskie modlitwy. Zibelda wróciła z czarą która mi się zdawała wyrzniętą z jednego wielkiego szmaragdu. Obie siostry umoczyły w niej usta i rozkazały mi do razu wychylić resztę napoju. Byłem posłuszny. Emina podziękowała mi za uległość i czule mnie uściskała. Następnie Zibelda złożyła na ustach moich tkliwy pocałunek. Wreszcie obie opuściły mnie mówiąc że niebawem znowu je ujrzę i że tymczasem radzą mi abym sprzął się czempredzej zasnąć.

Tyle dziwnych wypadków, cudownych opowiadań i nieprzewidywanych wrażeń, dałoby mi przez całą noc nad czem rozmyślać, ale muszę wyznać że obiecane sny nade-

wszystko mnie zajmowały. Szybko więc zebrałem się i na przygotowane dla mnie łóżko gdym się już położył, zauważyłem z przyjemnością, że postanie było szerokie i że jak dla snów zanadto było miejsca; ale zaledwie miałem czas uczynić tę uwagę gdy nieprzewyciężony sen osiadł mi powieki i wszystkie kłamstwa nocy, pochwyciły wnet moje zmysły. Co chwila błądziłem w coraz innych fantastycznych urokach, a myśl moja niesiona na skrzydłach żądy, mimowolnie stawiała mnie śród afrykańskich serajów, odsłaniała wdzięki ukryte w ich zaklętych murach i pograżała w toni nieopisanych rozkoszy. Czulem że śnił a jednak miałem świadomość że niesenne widziadła cisnęły w moich objęciach. Gubiłem się w nieskończonej przestrzeni najszaleńszych złudzeń, ale dobrze pamiętam że zawsze znajdowałem się w towarzystwie moich pięknych kuzynek. Zasypiałem na ich łonie i budziłem się w ich objęciach. Niepamiętam ile razy doznałem tych czarownych przemian.....

DZIEŃ DRUGI.

Nareszcie ocknąłem się na prawdę. Słońce paliło mi powieki; zaledwie zdołałem je podnieść, ujrzałem niebo, i znalazłem się na wolnem powietrzu, ale blask lśnił mi wzrok, nie spałem już a jednak nie byłem zupełnie rozbudzony.

Okropne obrazy przesuwały się przed moim umysłem. Trwoga mnie zdjęła. Zerwałem się nagle i błędnym wzrokiem zataczyłem do koła.

Gdzież znajdę wyrazy aby opisać zgrozę jaka mnie owładnęła. Leżałem pod szubienicą Los-Hermanos. Trupy dwóch braci Zota nie wisały ale spoczywały po obu moich stronach. Bez wątpienia całą noc między nami przepędziłem. Spoczywałem na potarganych postronkach, resztkach kół, odłamkach szkieletów i ohydnych łachmanach niestrawionych jeszcze zepsuciem. Mniemałem że był we śnie i że przykry sen mnie tłoczył.

Przymknąłem oczy i zacząłem przypominać wrażenia przepędzonej nocy. Wtem poczułem szpony wpijające się w pierś moją. Spostrzegłem sępa który spadł na mnie i pożerał jednego z moich towarzyszków noclegu. Ból jaki mi te szpony sprawiły rozbudził mnie zupełnie. Suknie moje obok mnie leżały, począłem się czempredziej ubierać. Kiedym już był ubrany, chciałem wyjść z szubienicznej zagrody, ale brama była zamknięta i otworzyć jej żadnym sposobem nie mogłem. Musiałem więc wdrapać się na to smutne ogrodzenie. Raz będąc na wierzchu, oparłem się o słup szubienicy i jałem do koła oglądać na okolicę. Znałem już to miejsce. W istocie znajdowałem się przy wejściu do doliny Los-Hermanos, niedaleko od brzegów Guad-al-Quiwiru.

Gdy tak wodziłem na około błędniemi oczyma, spostrzegłem dwóch podróżnych nad rzeką, z których jeden przygotowywał śniadanie, drugi zaś trzymał za cugle konie. Byłem tak uszczęśliwiony z widoku ludzi że natychmiast zacząłem krzyczeć: « *Agour, Agour,* » co znaczy po hiszpańsku « dzień dobry » lub też « jak się masz? »

Dwaj podróżni spostrzegszy te grzeczności

jakie im ktoś z wierzchu szubienicy oświadczał, osłupieli przez chwilę, ale niebawem dosiedli koni i co tchu popędzili drogą do Al-cornoques. Wołałem żeby się zatrzymali ale napróżno, im głośniejszy krzyczałem, tem prędzej umykali i głębiej zapuszczali ostrogi. Gdy nareszcie zupełnie straciłem ich z oczu, przedewszystkiem pomyśliłem o opuszczeniu mego stanowiska. Zeskoczyłem na ziemię i w upadku mocno się stłukłem.

Cały potłuczony i kulejąc dostałem się na brzegi Guad-al-Quiwiru i zastałem tam przygotowane śniadanie którego dwaj podróżni z takim pośpiechem byli odbiegli. Posilek ten przyszedł mi w samą porę, byłem bowiem nader wycieńczony. Znalazłem gotującą się jeszcze czekuladę, sponhao moczone w alikancie, chleb i jaja.

Zacząłem od pokrzepienia sił i następnie jałem przywozić na pamięć wypadki ubiegłej nocy. Wspomnienia moje powikłały się zupełnie, dobrze jednak pamiętam że dał słowo honoru na dotrzymanie tajemnicy, i postanowiłem świącie dochować przysięgi. Usunąwszy raz pod tym względem wszelką wątpliwość, zacząłem zastanawiać się nad dalszym moim losem, czyli nad drogą którą

miałem obrać Teraz bardziej niż kiedykolwiek sądziłem że święte prawa honoru nakazują mi udać się przez Sierra Morena.

Dziwnem może się wydawać że zajmowałem się tyle moją sławą, a tak mało wypadkami poprzedniej nocy; ale ten sposób myślenia był skutkiem mego wychowania, jak to się pokaże w dalszym ciągu tego opowiadania. Tymczasem wracam do mojej podróży.

Bardzo byłem ciekawy dowiedzieć się co djabli poczęli z moim koniem którego zostawiłem w Wenta-Quemada, ponieważ zaś droga tamtędy mi wypadła, postanowiłem wstąpić do gospody. Musiałem piechoto przebywać całą dolinę Los Hermanos aż do venty, i tak byłem zmęczony zębem z niecierpliwością oczekiwałem chwili w której odzyskam mego konia. W istocie znalazłem go w tej samej stajni gdzie go był wczoraj zostawił. Dzielnym mój gniadosz nie stracił zwykłej wesołości, a po polysku jego skóry poznałem że ktoś pilnie miał o nim staranie. Niemogłem pojąć ktoby się tem był zajmował, ale tyle już widziałem nadzwyczajnych rzeczy, że niewarto się było nad tą jedną długo zastanawiać. Byłbym natychmiast puścił się w drogę gdyby mi chęćka nie była przyszła raz

jeszcze obejrzeć gospodę. Znalazłem izbę do której naprzód przybyłem ale pomimo najsilniejszych poszukiwań niemogłem wyszukać komnaty gdzie poznałem piękne Maurytanki. Znudziły mnie te próżne przepatrywania kątów, dosiadłem więc konia i udałem się w dalszą podróż.

Kiedym się obudził pod szubiewicą Los Hermanos, słońce połowy biegu już dochodziło, od tego czasu dwie godzin zużyłem na przybycie do venty, tak więc gdy następnie parę mil ujechał trzeba było pomyśleć o nowem schronieniu, ale niewidząc nigdzie żadnego dachu, postępowałem dalej. Wreszcie dostrzegłem wdali gotycką kaplicę, o którą opierała się mała chatka z pozoru wyglądająca na pustelnię. Wszystko to leżało w dość znacznem oddaleniu od wielkiej drogi, ale gdy głód zaczął mnie przyciskać, niewahałem się zboczyć w nadziei posiłku.

Przybywszy, przywiązałem konia do drzewa, zapukałem do drzwi pustelni i ujrzałem wychodzącego pustelnika nader poważnej postaci. Uścisnął mnie z ojcowską troskliwością i rzekł: « Wejdz mój synu czempredzej, nie przepędzaj nocy pod gołym niebem, strzeż się pokus gdyż Pan odsunął od nas swoją prawicę.

Podziękowałem pustelnikowi za dobroć jaką mi oświadczył i napomknąłem mu o głodzie który mnie trawił.

« Myśl tymczasem o zbawieniu duszy, mój synu, — odparł — idź do kaplicy, klękni i módl się przed krzyżem. Ja pomyślę o potrzebach twego ciała; ale musisz poprzestać na skromnym posiłku na jaki stać biedną chatkę pustelnika. »

Przeszedłem do kaplicy i w istocie począłem się modlić, gdyż nie tylko że sam nigdy nie byłem bezbożnikiem ale nawet niepojmowałem żeby mogli znajdować się ludzie nie wierzący. Wszystko to pochodziło jeszcze ze sposobów jakimi mnie wychowano.

Po chwili pustelnik przyszedł po mnie i wprowadził do chaty gdzie znalazłem dość porządne nakrycie. Wieczera składała się z owoców, mleka i sucharów miasto chleba; wreszcie znalazła się i butelka wina, którego pustelnik nie pił ale używał jedynie do ofiary mszy świętej. Dowiedziawszy się o tem zostawiłem również wino nietknięte.

Podczas gdy z przyjemnością posilałem się, weszła do chaty tak straszliwa postać jakiej dotąd jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Był to człowiek jak się zdawało młody ale

odstraszającej chudości. Włosy miał najeżone, jedno oko wyklute i świeżo jeszcze rozkrwawione. Z ust wychodził mu język pokryty pianą. Czarna suknia go okrywała, ale nie miał ani koszuli ani obuwia.

Okropne zjawisko, nie mówiąc ani słowa, skulone usiadło w kącie, i niewzruszone jak posąg jednym okiem wpatrywało się w krucyfiks który w obu rękach ścisnęło. Pożywszy wieczerek zapytałem pustelnika, coby to był za człowiek?

« Synu mój, — odparł starzec — jestto opętany z którego wypędzam duchy czartowskie. Straszliwa jego historia jasnym jest dowodem potęgi jaką anioł ciemności wywiera na tę nieszczęśliwą okolicę. Opowiadanie to może się przydać ku twemu zbawieniu, rozkażę mu więc aby zaczął. I to mówiąc obrócił się do opętanego i rzekł: « Paszeko, Paszeko, w imię twego odkupiciela nakazuję ci opowiedzieć swoją historią. » Paszeko zaryczał okropnie i tak się odezwał:

HISTORIA OPĘTANEGO PASZEKO.

« Urodziłem się w Kordowie gdzie ojciec mój żył w stanie wyższym nad mierność.

Matka moja przed trzema laty umarła. Ojciec z początku zdawał się niepocieszonym, ale gdy po kilku miesiącach wypadło mu jechać do Sewilli, tamże zakochał się w młodej wdowie, nazwiskiem Kamilla de Tormes. Kobieta ta nieuzywała dobrej sławy i przyjaciele mego ojca starali się odwrócić go od tej znajomości; ale właśnie, jakby im na przekorę, mój ojciec ożenił się z nią we dwa lata po śmierci pierwszej żony. Ślub odbył się w Sewilli i w kilka dni potem mój ojciec wrócił do Kordowy z nową małżonką i siostrą jej Inezillą.

Moja macocha zupełnie odpowiadała wieściom jakie o niej krążyły, i przybywszy do naszego domu zaczęła naprzód od rzucania na mnie czułych spojrzeń. Nie powiódł się jej ten zamiar, natomiast ja szalenie zakochałem się w jej siostrze Inezilli. Namiętność moja tak się wzmogła, że upadłem do nóg ojcu i błagałem aby mi ją dał za żonę.

Ojciec mój podniósł mnie z dobrocią i rzekł: «Zakazuję ci synu mój myśleć o tem małżeństwie, a to dla trzech przyczyn. Naprzód niewypada abyś stał się szwagrem ojca; powtórę, święte prawa kościelne nie pozwalają takich małżeństw; potrzecie, niechcę abyś zenił się z Inezillą.» Mój ojciec wyluszczy-

wszy mi te trzy powody, odwrócił się ode mnie i odszedł.

Na te słowa oddałem się najgwałtowniejszej rozpacz. Macocha moja dowiedziawszy się o tem co zaszło, przyszła do mnie i upewniła mnie że bezpotrzebnie martwiłem się, że gdy niemogłem być małżonkiem Inezilli, to wcale nie przeszkadzało abym stał się jej kortehho czyli kochankiem, i że ona całą tę sprawę bierze na siebie. Zarazem jednak wiele mówiła mi o swoim przywiązaniu ku mnie i spoglądała na mnie wzrokiem, którego znaczenia bynajmniej nie chciałem odgadnąć. Słuchałem tego wszystkiego zdumiony, znając jednak skromność Inezilli nie spodziewałem się nigdy aby moje nadzieje kiedykolwiek zostały spełnione.

Śród tego mój ojciec wybrał się na podróż do Madrytu, gdzie pragnął wyrobić sobie posadę korredzydora Kordowy i zabrał z sobą żonę i jej siostrę. Podróż ta miała trwać dwa miesiące, ale dla mnie, który jednego dnia bez widoku Inezilli nie mogłem przepędzić, czas ten wydawał się niesłychanie długim. Przy końcu dwóch miesięcy otrzymałem list od ojca, w którym rozkazywał mi abym wyjechał na jego spotkanie i oczekiwał go w Venta-

Quemada przy wejściu do Sierra-Morena. Kilka tygodni wprzód niebyłbym śmiało zapuścić się w Sierra-Morena, ale w ten czas właśnie co powiedzono dwóch braci Zota, zgraja poszła w rozsypkę i nie wspominało o żadnych niebezpieczeństwach.

Wyjechałem więc około dziesiątej z rana z Kordowy i przybyłem na nocleg do Andu-har, do najgadatliwszego oberżysty z całej Andaluzji. Kazalem sobie zastawić obfitą wieczerzę i połowę spożywszy, drugą zacho-wałem na dalszą podróż.

Nazajutrz posiłem się resztkami mojej wieczerzy w Los-Alcornoques i na wieczór przybyłem do Venta-Quemada. Nie zastałem jeszcze ojca ale gdy ten wyraźnie kazał mi czekać na siebie, zgodziłem się na to tem chętniej, że znalazłem obszerną i wygodną gospodę. Oberżysta który ją trzymał, niejaki Gonzalez z Murcyi, dobry człowiek ale wielki paliwoda, obiecał mi sporządzić wieczerzę godną granda pierwszej klasy. Podczas gdy ją przyrządzał, udałem się na przechadzkę nad brzegi Guad-al-Quiviru, a wróciwszy istotnie znalazłem że wieczerza nie była bez zalet. Kilka godzin jeszcze przepędziłem to czytając, to przewracając się w łóżku, gdym

nagle usłyszał dźwięk dzwonu, czyli raczej zegaru, bijącego północ. Zdziwiłem się tem bardziej zem poprzednich godzin nie słysząc. Niebawem drzwi się otworzyły i ujrzałem moję macochę w lekkim podwłośniku ze świecą w ręku. Zbliżyła się do mnie na palcach, postawiła świecę na stoliku, usiadła obok mnie, wzięła moją rękę między swoje dłonie i w te słowa zaczęła:

«Drogi Paszeko, nadeszła chwila w której mogę spełnić uczynioną ci obietnicę; godzina temu jak przybyliśmy do tej karczmy. Twój ojciec udał się na noc do wioski, ale ja dowiedziawszy się że tu jesteś, otrzymałam pozwolenie zostania z moją siostrą. Inezilla czeka na ciebie, ale pomnij o warunkach two-go szczęścia. Ty kochasz Inezillę ale ciebie kto inny kocha z równą mocą: dwoje nie powinno używać szczęścia kosztem trzeciego. Pójdź za mną.» Moja macocha nie dała mi czasu odpowiedzi, tylko poprowadziła mnie przez wiele kurytarzy aż do drzwi ostatnich i jęła spoglądać przez dziurkę od klucza. Kiedy dość się już napatrzyła rzekła: «Wszystko idzie dobrze, sam się przekonaj.»

W istocie ujrzałem zachwycającą Inezillę, ale wyraz jej twarzy był dalekim od zwykłej

jej skromności. Oczy pałały niezwyčajnym ogniem, pierś szybko się wznosiła miotana gwałtownem wzruszeniem. Niemogłem tego pojąć.

Po chwili Kamilla rzekła: «Zostań tu kochany Paszeko, skoro czas nadejdzie przyjdę po ciebie.»

Gdy weszła do komnaty, znowu przyłożyłem oko do zamku, i ujrzałem tysiąc niepojętych dla mnie rzeczy. Kamilla namiętnemi słowy przemawiała do siostry; na stole stała szklanka niedopitego białego napoju. Inezilla z rozplomionem obliczem błędnie wpatrywała się w twarz tej kobiety, której postać unosiła się nad nią jak jastrząb nad przelekdą gołębica. Krew we mnie zawrzała, szybko otworzyłem drzwi i ukląknem obok czarującej dziewczyny okrywając pocałowaniem drobne jej rączki. Szatan widno rozszalał się tej nocy i popychał mnie w przepaść zbrodni. Cały pokój kręcił się ze mną, czułem że zmysły mnie opuszczają i niebawem głęboki sen mnie ogarnął.

Nazajutrz obudziłem się pod szubienicą braci Zota, których trupy leżały po obu moich stronach.»

Tu pustelnik przerwał opętanemu i rzekł:

«Cóż więc mój synu co o tem myślisz? Mniemam że doznałbyś niesłychanej trwogi gdybyś nagle znalazł się między dwoma wielcami.»

«Obrażasz mnie mój ojciec — odparłem — szlachciec nie powinien niczego się lękać, tem bardziej zwłaszcza gdy ma zaszczyt być kapitanem w gwardyi wallońskiej.»

«Ależ mój synu, — przerwał pustelnik — czy szłyszałeś aby komu wydarzyła się kiedy podobna przygoda?»

Zastanowiłem się przez chwilę, poczem odrzekłem: «Jeżeli ta przygoda przytrafiła się panu Paszeko, mogła bardzo wygodnie wydarzyć się i innym, osądzę to lepiej jeżeli raczysz mu rozkazać aby mówił dalej.»

Pustelnik obrócił się do opętanego i rzekł: «Paszeko! Paszeko! w imieniu twójgo odkupiciela nakazuję ci mówić dalej.» Paszeko zaryczał straszliwie i tak dalej rozpowiadał:

«Na pół umarły uciekałem z pod szubienicy; wlokłem się sam niewiedząc gdzie, nareszcie spotkałem podróżnych którzy ulitowali się nademną i odprowadzili do Venta-Quemada. Zostałem oberżystę i moich służących wielce o mnie zakłopotanych. Zapytałem ich czyli w istocie ojciec mój prze-

pędził noc w pobliżkiej wiosce, odpowiedzieli że dotychczas nikt jeszcze z mojej rodziny nie przybył.

Niemogłem już dłużej wytrzymać w Venta-Quemada i powróciłem do Anduhar. Przyjechałem już po zachodzie słońca; pełno było ludzi w gospodzie, postano mi więc w kuchni. Położyłem się ale nadaremnie usiłowalem zasnąć, okropności przeszłej nocy ciągle stawały mi przed umysłem. Na ognisku kuchennem postawiłem zapaloną świecę, gdy wtem ta nagle zagasła i uczulem jak dreszcz śmiertelny krew mi ścinał w żyłach. Zaczęło mnie coś ciągnąć za koldrę i niebawem usłyszałem cichy głos przemawiający w te słowa:

« To ja, Kamilla, twoja macocha, drzę cała od zimna drogi Paszeko, zlituj się nademną.»

Po chwili drugi głos przerwał:

« To ja Inezilla, Paszeko, niepoznajesz że twojej kochanki? i mnie także zimno.»

I wnet poczułem jak zimna ręka głaskała mnie pod brodę. Zebrałem wszystkie siły i krzyknąłem: « Precz odemnie szatanie?... »

Na co oba głosy znówu cicho odpowiedziały: « Jako? wypędzasz nas? czyliż nas

już nie kochasz? Zimno nam, rozpalimy trocha ognia na kominku.»

W istocie wkrótce potem lekki płomyk zabłysnął na ognisku kuchennem; gdy nieco się rozjaśniło, otworzyłem oczy i ujrzałem już nie Kamillę i Inezillę ale dwóch braci Zota wiszących w kominie.

Na ten straszny widok, odszedłem prawie od zmysłów; wyskoczyłem z łóża, rzuciłem się przez okno i zacząłem uciekać w pole. Przez chwilę mniemałem że uciekłem szczęśliwie od tych wszystkich okropności, ale obróciwszy się spostrzegłem że wisielcy gonili za mną: puściłem się coraz prędzej i wkrótce zostawiłem upiory daleko za sobą — ale radość moja niedługo trwała. Obrzydłe stworzenia zaczęły obracać się kołem na rękach i nogach i w jednej chwili mnie doścignęły. Jeszcze próbowałem uciec, nakoniec sił mi zabrakło.

Wtedy uczulem że jeden z wisielców chwycił mnie za kostkę lewej nogi; chciało mu ją wydrzeć, ale wtem drugi stanął mi w poprzek drogi. Zatrzymał się, wytrzeszczył na mnie okropne oczy i wywalił język czerwony jak żelazo z ognia dobyte. Błagałem o miłosierdzie ale napróżno. Jedną ręką porwał mnie

za gardło, drugą zaś wydarł to właśnie oko które dotąd nie może się zagoić. W miejsce oka, wsunął swój język rozpalony, zaczął mi lizać mózg tak że ryczałem z boleści.

Natenczas drugi wisielec który schwycił mnie za lewą nogę, wziął się także do szponów; naprzód zaczął mnie lechtać pod podszewę nogi za którą mnie trzymał, następnie piekielny potwór zdarł mi skórę, powyciągał wszystkie nerwy, oczyścił ze krwi i jał przebierać po nich palcami jak gdyby po narzędziu muzycznym; widząc jednak że wcale nie wydawałem przyjemnych dlań dźwięków zapuścił szpony pod moje kolano, pozaciągał żyły na pazury i zaczął je nastrajać, zupełnie jak gdyby miał do czynienia z harfą. Nakoniec jał grać na mojej nodze z której utworzył pewien rodzaj psalterionu. Słyszałem jego djabelski śmiech, piekielne wycia towarzyszyły moim krzykom, tęniały mi w uszach zgrzytania potępieńców, wreszcie straciłem przytomność.

Najajutrz pasterze znaleźli mnie na polu i przynieśli do tej pustelni. Wypowiadałem się z grzechów i u stóp ołtarza znalazłem ulgę w moich cierpieniach. » —

Po tych słowach opętaniec zaryczał stra-

szliwie i umilkł. Natenczas pustelnik zabrał głos i rzekł:

« Przekonywasz się teraz młodzieńcze o potędze szatana, módl się więc i płacz. Ale już jest późno, wypada się nam rozłączyć; nie ofiaruję ci na noc mojej celi gdyż krzyki Paszeka niedałyby ci zasnąć. Idź, połóż się w kaplicy, tam pod zasłoną krzyża znajdziesz opiekę przeciw złym duchom. »

Odpowiedziałem pustelnikowi że będę spał tam gdzie mu się podoba; zanieśliśmy małe łóżko na pasach do kaplicy i pustelnik odszedł życząc mi dobrej nocy.

Znalazłszy się sam jeden, zacząłem przywodzić na pamięć opowiadanie Paszeka; w istocie to coś wyglądało na moje własne przygody i właśnie zastanawiałem się nad tem gdy północ uderzyła. Nie wiedziałem czy to pustelnik dzwonił czyli też zabrzmiało djabelskie hasło. Wtedy usłyszałem że ktoś skrobał do drzwi; poszedłem i zapytałem: « kto tam?.. » Cichy głos odpowiedział mi: « Zimno nam — otwórz — to my — twoje drogie kochanki. »

« Zapewne, przeklęte wisielcy — zawolałem — poszli precz do waszych szubienic! nie przeszkadzajcie mi spać. »

Na to cichy głos znowu się odezwał:
« Drwisz sobie z nas bo siedzisz w kaplicy
— ale pójdźno tu do nas paniczu. »

« Służę wam w tej chwili » szybko odpo-
wiedziałem. Porwałem za szpadę i chciałem
wyjść, ale coż kiedy zastałem drzwi zamknięte.
Powiedziałem to upiorom które ani słowa nie
rzekły. Położyłem się więc i spałem aż do
białego dnia.

DZIEŃ TRZECI.

Obudziłem się na głos pustelnika, który
zdawał się niesłychanie cieszyć widząc mnie
zdrowego i wesołego. Uściskał mnie ze łza-
mi w oczach i rzekł: « Synu mój, dziwne
rzeczy działy się tej nocy. Powiedz prawdę,
czy przepędziłeś noc w Venta Quemada i
czy miałeś tam do czynienia z potępieńcami?
Jeszcze można złemu zaradzić. Klęknij u stóp
oltarza, wyznaj twoje winy i czyn pokutę. »
Tak upominając, zamilkł i czekał na moją od-
powiedź. « Ojczy mój, — rzekłem — właśnie
spowiadałem się wyjeżdżając z Kadyxu, a od
tego czasu nie sędzę abym popełnił jaki
grzech śmiertelny, chyba we śnie. Wpra-
wdzie nocowałem w Venta Quemada, ale je-
żelim tam co widział, mam moje powody dla
których niechcę o tem wspominać. » Pustel-
nik na pozór zdziwił się mocno tą odpowie-
dzą, wyrzucił że dałem się uwieść szatanowi

pychy i koniecznie chciał mnie przekonać o nieodbitej potrzebie spowiedzi. Wkrótce jednak widząc że niezłomnie trwałem w mojem postanowieniu, udobruchał się, porzucił ton apostołski jakim do mnie przemawiał i rzekł: « Dziwi mnie twoja odwaga, powiedz mi kto jesteś? kto cię wychował i czy wierzysz lub nie wierzysz w duchy. Bądź tak dobry i zaspokój moją ciekawość. »

« Ojciec — rzekłem — zaszczytasz mnie tą chęcią bliższego poznania mojej osoby i bądź przekonany że umiem ją cenić. Pozwól abym wstał, a wtedy przyjdę do pustelni i opowiem ci wszelkie szczegóły mnie dotyczące jakich sam tylko zażądasz. » Pustelnik znowu mnie uściskał i odszedł.

Ubrawszy się wszedłem do pustelni; zastałem starca warzącego kozie mleko które mi podał wraz z cukrem i chlebem; sam zaś poprzestał na kilku gotowanych korzonkach.

Skończywszy śniadanie, pustelnik obrócił się do opętanego i rzekł: « Paszeko, Paszeko! w imieniu twojego odkupiciela, rozkazuję ci zaprowadzić kozy na górę. » Paszeko zaryczał straszliwie i odszedł.

Natenczas, w te słowa zacząłem opowiadać własne przygody:

HISTORIA ALFONSA VAN WORDEN.

« Pochodzę z starożytnej rodziny która jednak więcej obfitowała w znakomitych mężów niż w dostatki. Cały nasz majątek, składało rycerskie dominium nazwane Worden, zależące od Burgundyi i położone wśród gór Ardeńskich.

Ojciec mój, mając starszego brata, musiał poprzestać na małej części dziedzictwa, która mu jednak wystarczała do przyzwoitego utrzymania się w wojsku. Służył podczas całej wojny o sukcesyą i po zawarciu pokoju, król Filip V. zaszczycił go stopniem podpułkownika w gwardyi wallońskiej.

W wojsku hiszpańskiem podówczas panował punkt honoru posunięty do najwyższego stopnia, który mój ojciec jeszcze za niedostateczny uważał i w istocie niemożna mu tego brać za złe, gdyż prawdę mówiąc, honor powinien być duszą życia wojskowego. W Madrycie nieodbywał się żaden pojedynek żeby mój ojciec nie układał warunków, a skoro raz wyrzekł że zadostyc uczynienie było dostatecznem, nikt przeciw temu wyrokowi nie śmiało stawić oporu. Jeżeli zaś szczególniejszym

trafem ktoś nie był zupełnie zadowolonym, natychmiast miał do czynienia z moim ojcem, który ostrzem szpady popierał każde swoje zdanie. Nadto ojciec mój utrzymywał wielką księgę w której zapisywał historię każdego pojedynku ze wszelkimi szczegółami, i zwykle w nadzwyczajnych razach do niej odwoływał się po radę.

Tak ciągle tylko zajęty swoim krwawym trybunałem, mój ojciec długo zostawał nieczułym na ponęty miłości, nareszcie wzruszyły mu serce wdzięki młodej jeszcze dziewczyny, Uraki Gomelez, córki Oidora Grenady, pochodzącej z krwi dawnych królów tego kraju. Wspólni przyjaciele wkrótce zbliżyli obie strony i skojarzyli małżeństwo.

Mój ojciec postanowił zaprosić na wesele wszystkich tych z którymi kiedykolwiek się pojedynkował, ma się rozumieć których nie pozabijał. Sto dwudziestu dwóch zasiadło do stołu, trzynastu nie było w Madrycie, o miejscu zaś pobytu trzydziestu trzech z którymi bił się w wojsku, nie mógł powziąć żadnej wiadomości. Matka moja opowiadała mi, że nigdy nie widziała tak wesołej uczty i na którejby szczerłość tak powszechnie panowała; łatwo temu uwierzyłem, gdyż ojciec mój miał

wyborne serce i był lubionym od wszystkich.

Z swojej strony, ojciec mój, silnie przywiązany do Hiszpanji, niebyłby nigdy opuścił służby, gdyby we dwa miesiące po małżeństwie nie był otrzymał listu podpisanego przez burmistrza miasta Bouillon. Donoszono mu: że jego brat, zszedłszy bezpotomnie ze świata, zostawił mu cały majątek. Wieść ta niesłychanie zmieszała mego ojca, i matka mówiła mi że wpadł w takie rozłargnienie, że nie można było jednego słowa z niego wydobyć. Nareszcie rozłożył księgę pojedynków, wyszukał dwunastu ludzi którzy ich mieli najwięcej w całym Madrycie, zaprosił do siebie i przemówił do nich w te słowa:

« Drodzy towarzysze broni, wiecie ile razy uspokoiłem wasze sumienia gdy honor wasz zdawał się być zagrożonym. Dziś sam jestem zmuszony odwołać się do waszego światła, lękam się albowiem aby mój własny sąd nie był dość jasnym, czyli raczej aby uczucie stronności nie stanęło mi na zawadzie. Oto jest list od burmistrza z Bouillonu, którego świadectwo zasługuje na szacunek, jakkolwiek urzędnik ten bynajmniej nie pochodzi z krwi szlacheckiej. Wyrzeknijcie więc, czy honor

nakazuje mi zamieszkiwać zamek moich przodków, lub też czy dalej mam służyć królowi Don Filipowi, który obsypał mnie dobrodziejstwami i w ostatnich nawet czasach wznosił do godności generała brygady. Zostawiam list na stole i sam odchodzę; za pół godziny powrócę i dowiem się o waszem postanowieniu. »

To mówiąc, mój ojciec wyszedł z pokoju. Gdy wrócił w pół godziny, zaczęło się głosowanie. Pięć głosów było za zostaniem w służbie siedm zaś za przeniesieniem się w góry Ardeńskie. Mój ojciec bez szemrania skłonił się za większością.

Matka moja chętnie byłaby pozostała w Hiszpanji, ale tak dalece kochała swego męża, że bez najmniejszego żalu zgodziła się na opuszczenie ojczyzny. Odtąd zajęto się jedynie przygotowaniem do podróży i przyjęciem kilku osób któreby mogły wśród gór Ardeńskich przypominać Hiszpanję. Chociaż ja, niebyłem jeszcze wtedy na świecie, jednakże mój ojciec bynajmniej nie wątpiąc o mojem przybyciu, pomyślił że czas był wyszukać dla mnie nauczyciela fechtunku; w tym celu rzucił wzrok na Garcíaza Hierro, najbiegłego fechtmistrza w całym Madrycie. Mło-

dzieniec ten, znudzony niespokojnem życiem miasta, chętnie przystał na podane mu warunki. Z drugiej strony, matka moja, niechcąc puszczać się w podróż bez spowiednika, wybrała Inniga Veleza, teologa patentowanego w Cuenza, który miał mnie nauczać zasad religji katolickiej i języka hiszpańskiego. Wszystkie te rozporządzenia względem mego wychowania, poczyniono na rok przed mojem przyjsciem na świat.

Skoro wszystko już było gotowe do odjazdu, ojciec mój poszedł pożegnać się z królem i według zwyczaju przyjętego na dworze hiszpańskim, ukląkł na jedno kolano aby mu ucałować rękę, ale nagle żal tak mu ścisnął serce, że zemdlął i odniesiono go bez przytomności do domu. Nazajutrz poszedł pożegnać się z Don Ferdynandem de Lara, który był na ów czas pierwszym ministrem. Don Fernando przyjął go nader laskawie i zawiadomił, że król wyznaczał mu dwanaście tysięcy realów dożywotniej pensyi wraz ze stopniem *Serhente hénéral*, który odpowiada dzisiejszemu generałowi dywizyi. Mój ojciec byłby połową własnej krwi okupił szczęście rzucenia się raz jeszcze do stóp monarchy, ale ponieważ już się był pożegnał, musiał przeto

tymrazem poprzestać na listowym wyrażeniu gorących uczuć wdzięczności jaka go wskroś przejmowała. Nareszcie, nie bez rzewnych lez, opuścił Madryt. Mój ojciec wybrał drogę przez Katolonię aby raz jeszcze zwiedzić pola, na których dał tyle dowodów mężstwa i pożegnać się z kilku dawnymi towarzyszami, którzy dowodzili oddziałami wojsk rozstawionemi na granicy. Ztamąd przez Perpignan dostał się do Francji

Całą podróż aż do Lyonu odbył jak najspokojniej, ale wyjechawszy z Lyonu końmi pocztowemi wyprzedzony został przez powóz, który daleko lżej wyładowany, pierwszy przybył do stacyi. Niebawem mój ojciec zajechał także przed dom pocztowy, wziął szpadę i zbliżywszy się do podróżnego prosił o udzielenie mu chwilkę osobnej rozmowy. Podróżny, jakiś pułkownik francuzki, widząc mego ojca w generalskim mundurze, aby mu nieuchybić także przypasał szpadę.

Weszli oba do gospody położonej naprzeciw domu pocztowego i zażądali osobnego pokoju. Gdy znaleźli się sami, mój ojciec temi słowy odezwał się do podróżnego: « Mości panie, powóz pański wyprzedził moją kareteę usiłując koniecznie pierwej zajechać przed

pocztę. Postępek ten, jakkolwiek sam przez się nie jest zniewagą, ma przecież dla mnie coś niemilego, z czego raczysz się pan wytłumaczyć. »

Pułkownik mocno zdziwiony zwałił całą winę na pocztylionów i zaręczał że bynajmniej się do tego nie mięszał.

« Mości panie, — przerwał mój ojciec — nieuważam tego bynajmniej za sprawę zbyt wielkiej wagi i dla tego poprzestane na pierwszej krwi. » To mówiąc dobył szpady.

« Wstrzymaj się pan na chwilę, — rzekł Francuz, — mniemam że to wcale nie moi pocztylioni wyprzedzili pańskich, ale przeciwnie pańscy włokąc się niedbale pozostali w tyle. »

Mój ojciec nieco zamyślił się i rzekł do pułkownika: « Sądzę że masz pan słusność i gdybyś był wcześniej uczynił mi tę uwagę, to jest zanim dobyłem szpady, bezwątpienia byłoby się obyło bez pojedynku; ale teraz pojmujesz pan że doprowadziliśmy rzeczy do tego stopnia, że bez rozlewu trochy krwi nie możemy się rozejść. »

Pułkownik znalazł zapewne tę przyczynę zupełnie dostateczną i także dobył szpady. Walka krótko trwała. Mój ojciec czując się

rannym, natychmiast zniżył ostrze swej szpady i jął przeproszać pułkownika że śmiało go trudzić, na co ten odpowiedział ofiarując swoje usługi, wymienił swoje nazwisko i gdzie można było go znaleźć w Paryżu; poczem wsiadł do powozu i odjechał

Mój ojciec z początku nie zważał na ranę, ale ciało jego tak było innemi pokryte, że nowy ten cios uderzył w dawną bliznę.

Pchnięcie szpady pułkownika odkryło postrzał karabinowy po którym kula mu jeszcze pozostała. Ołów tym razem wydostał się na wierzch i po dwu miesięcznem okładaniu i przewijaniu, rodzice moi puścili się w dalszą drogę.

Mój ojciec przybywszy do Paryża natychmiast pośpieszył odwiedzić Margrabiego d'Urfé (tak się nazywał pułkownik z którym miał spotkanie). Był to jeden z ludzi najczęściej poważanych na dworze; przyjął mego ojca z niewypowiedzianą uprzejmością i obiecał przedstawić go ministrowi jakoteż pierwszym panom francuzkim. Mój ojciec podziękował mu i prosił tylko o przedstawienie go księciu de Tavannes, który naówczas był dziekanem marszałków, chciał bowiem zasięgnąć bliższych wiadomości względem trybu-

nału honorowego o którym dotąd miał wysokie wyobrażenie, często rozpowiadał w Hiszpanii jako o nader mądrej ustawie i wszelkiemi siłami starał się zaprowadzić ją w tym kraju. Marszałek również rad był memu ojcu i polecił go kawalerowi de Believre, pierwszemu sekretarzowi panów marszałków i obrońcy przy rzeczonym trybunale.

Kawaler często odwiedzając mego ojca spostrzegł raz u niego kronikę pojedynków; dzieło to tak dalece wydało mu się jedynem w swoim rodzaju, że prosił o pozwolenie pokazania go panom marszałkom, którzy podzielili zdanie ich sekretarza i posłali do mego ojca z prośbą: aby raczył dozwolnić uczynić odpis, który miał być na wieczne czasy złożonym w aktach trybunalskich. Żądanie to sprawiło memu ojcu niesłychaną przyjemność i z radością na nie zezwolił.

Podobne oświadczenia szacunku bezustannie uprzyjemniały memu ojcu pobyt w Paryżu, ale wcale inaczej działało się z moją matką. Postanowiła ona niezwłocznie nietylko nie uczyć się po francuzku, ale nawet nie słuchać gdy przemawiano tym językiem. Spowiednik jej Innigo Velez ciągle gorzko wyśmiewał się z wolnych obrządków kościoła galli-

kańskiego, Garcias Hierro zaś kończył każdą rozmowę utrzymując, że Francuzi byli tchórzami i niezgrabiaszami.

Nareszcie rodzice moi opuścili Paryż i po czterech dniach podróży przybyli do Bouillon. Ojciec mój dopełnił aktu rozpoznania przed urzędnikami i objął swój majątek w posiadanie. Dach naszych przodków, oddawna pozbawiony obecności swych panów, w równym stanie znajdował się co do dachówek; deszcz tak dobrze lał w pokoju jak na podwórzu, z tą różnicą: że brak podwórza wkrótce wysychał, podczas gdy kaluże w pokojach ciągle się powiększały. Ten zalew domowego ogniska bardzo podobał się memu ojcu, przypominał mu bowiem oblężenie Leridy, podczas którego trzy tygodnie przepędził stojąc po pas w wodzie.

Pomimo tych miłych wspomnień, postarał się jednak o umieszczenie w suchem miejscu łóżka swojej małżonki. W obszernym bawialnym pokoju był komin flamandzki przy którym piętnaście osób mogło grzać się wygodnie; wystające sklepienie tego komina tworzyło niejako dach, podparty z każdej strony dwoma słupami. Zabito więc dymnik i pod tym dachem postawiono łóżko mojej

matki, stolik i jedno krzesło, ponieważ zaś ognisko było wyniesione na jedną stopę, matka moja przeto mogła zamieszkiwać tę wyspę dość nieprzystępną dla powodzi.

Ojciec mój osiedlił się w przeciwnym końcu pokoju na dwóch stolach spojonych deskami, oba zaś łóżka połączone mostem umocowanym w środku podwalnią z pak i kufków. Dzieło to zostało ukończone pierwszego dnia naszego przybycia do zamku i w dziewięć miesięcy potem przyszedłem na świat. Podczas gdy z wszelką czynnością zajmowano się wyporządzeniem naszego mieszkania, mój ojciec odebrał list który przepelnił go radością. W liście tym marszałek książę de Tannes, prosił go o sąd w pewnej sprawie honorowej która całemu trybunałowi wydała się nader trudną do rozstrzygnięcia.

Mój ojciec z takim szczęściem przyjął ten dowód szczególniejszej łaski, że postanowił z tego powodu wyprawić wielki bal dla sąsiadów. Ale ponieważ niemieliśmy żadnych sąsiadów, bal przeto skończył się na fandango wykonanem przez mego fechtmistrza i Signorę Fraskę pierwszą garderobianę mojej matki.

Ojciec mój, w odpowiedzi na list marszałka upraszał aby raczono mu w następstwie prze-

syłać wyciągi z wyroków trybunału. Ta łaska została mu udzieloną i odtąd każdego pierwszego miesiąca otrzymywał wielki zwój papierów, który przez cztery tygodnie wystarczał na domowe rozmowy i sprzeczki pod czas długich wieczorów zimowych przy kominie, w lecie zaś na dwóch ławkach przypartych do zamkowej bramy.

Gdy zapowiadałem już moje narodzenie, ojciec mój ciągle rozmawiał z moją matką o synu którego się spodziewał i o wyborze ojca chrzestnego. Matka moja obstawała za księciem de Tavannes lub też za margrabią d'Urfé, ojciec zaś utrzymywał że to byłby dla nas wielki zaszczyt, ale przytem obawiał się aby ci panowie nie sądzili że mu czynią zbyt wielki zaszczyt, i tak zrozumiawszy należycie własną godność prosił kawalera de Believre, który z swojej strony z szacunkiem i wdzięcznością przyjął zaproszenie

Nakoniec przyszedłem na świat; w trzecim roku życia wywijałem już małą szpadą, w szóstym zaś strzelałem z pistoletu nie zmrużywszy oka. Już miałem blisko siedm lat gdy mój ojciec chrzestny przyjechał do nas w odwiedziny. Kawaler od tego czasu ożenił się był w Tunak i piastował tam urząd namie-

stnika i zarazem obrońcy przy trybunale honorowym. Początek tych godności odnosi się aż do czasów sądów bożych, później przyłączono je do trybunału marszałków Francyi.

Pani de Believre była nader wątego zdrowia i mąż wiozł ją do wód w Spa. Oboje wkrótce niesłychanie mnie polubili a ponieważ nie mieli własnych dzieci, uprosili przeto mego ojca aby im powierzył moje wychowanie, które niemogło być pielęgnowanem w samotnej okolicy jaką zamieszkivaliśmy. Ojciec mój chętnie przystał na ich żądania, zachęcony zwłaszcza urzędem obrońcy przy trybunale honorowym, który mu obiecywał, że w domu Believrorów zawczasu przejmę się zasadami mającemi ustalić dalsze moje postępowanie.

Z początku chciano aby Garcias de Hierro mi towarzyszył, gdyż mój ojciec zawsze był tego zdania że najszlachetniejszy pojedynek był ze szpadą w prawej, puginałem zaś w lewej ręce. We Francyi zupełnie nieużywano tego rodzaju szermierstwa. Ponieważ jednak mój ojciec przyzwyczał się każdego poranku szermować z Garciasem, i ta rozrywka stała się potrzebną dla jego zdrowia, postanowił zatem zatrzymać fechtmistrza przy sobie.

Również, myślano wysłać ze mną teologa Inniga Veleza, ale ponieważ matka moja umiała tylko po hiszpańsku, niepodobieństwem więc było pozbawiać ją spowiednika znającego ten język. Tak więc rozłączony zostałem z dwoma ludźmi których jeszcze przed mojem urodzeniem przeznaczono na moich nauczycieli. Jednakże dano mi służącego Hiszpana, ażebym w jego towarzystwie nie zapomniał mowy macierzyńskiej.

Wyjechałem z moim ojcem chrzestnym do Spa gdzie przepędziliśmy dwa miesiące, zamtąd udaliśmy się do Hollandyi i nareszcie w końcu jesieni wróciliśmy do Turnak. Kawaler de Believre wybornie odpowiedział zaufaniu mego ojca i przez sześć lat nie szczędził wszelkich starań aby mnie z czasem wykształcić na znakomitego wojskowego. W końcu szóstego roku mego pobytu, Pani de Believre nagle umarła, mąż jej opuścił Flandryę i przeniósł się do Paryża, mnie zaś odwołano do rodzicielskiego domu.

Po nieznośnej podróży z powodu późniejszej pory, we dwie godzin po zachodzie słońca przybyłem do zamku, gdzie zastałem wszystkich mieszkańców zebranych koło wielkiego komina. Mój ojciec jakkolwiek uszczęśli-

wiony z mego przyjazdu, przecież bynajmniej nie objawił oznak radości, lękając się na szwank wystawić to co wy Hiszpanie nazywacie *la gravedad*; natomiast matka moja przyjęła mnie ze łzami. Teolog Innigo Velez przywitał mnie błogosławieństwem, szermierz zaś Garcias Hierro natychmiast podał mi floret. Wnet uderzyłem na niego i zadałem mu kilka pchnięć które dały obecnym niepospolite wyobrazenie o mojej zręczności. Mój ojciec zbyt był biegłym znawcą aby w tej chwili nie miał zastąpić dawnej oziębłości najżywszym rozczuleniem.

Zastawiono wieczerzę i wszyscy wesóło zasiedli do stołu. Po wieczerzy znówu przysunięto się do komina i mój ojciec rzekł do teologa: «Przewielebny Don Innigo, uczyn mi tę przyjemność, przynieś wielką księgę z cudownemi historyami i przeczytaj nam którą.» Teolog poszedł do swego pokoju i wkrótce wrócił z ogromnym folialem oprawionym w biały pergamin który pożółkniał już od starości. Otworzył księgę na chybił-trafił i zaczął czytać w te słowa:

HISTORIA TRIWULDA Z RAWENNY.

Był raz przed laty, we włoskiem mieście

nazwanem Rawenna, młodzieniec nazwiskiem Triwuld. Przystojny, bogaty ale przytem nadzwyczaj zarozumiały. Dziewczęta raweńskie wyglądały oknami aby ga ujrzeć przechodzącego, ale żadna nie mogła sprawić na nim wrażenia. Jeżeli zaś przypadkiem która przypadła mu do smaku, milczał z obawy aby się nie poniżył okazaniem kobiecie tak wysokiego zaszczytu. Nareszcie wdzięki, młodej Niny Dei-Gieraci skruszyły jego obojętność i Triwuld oświadczył jej swoją miłość. Nina na to odpowiedziała, że kawaler Triwuld wiele ją tym zamiarem zaszczycał, ale że od dzieciństwa kochała swego kuzyna Teobalda Dei-Gieraci i że zapewne do śmierci kochać go nie przestanie. Na tę niespodziewaną odpowiedź, Triwuld wyszedł dając oznaki najzapaleczywszej wściekłości.

W ośm dni potem, a było to właśnie w niedzielę, gdy wszyscy mieszkańcy Rawenny dążyli do katedry świętego Piotra, Triwuld rozpoznał wśród tłumu Ninę wspartą na ramieniu jej krewnego. Zawinał się w płaszcz i pośpieszył za niemi.

Gdy wszyscy weszli do kościoła gdzie niewolno było twarz płaszczem zakrywać, kochankowie mogli byli łatwo spostrzedz że

Triwuld ich ścigał, ale tak dalece zajęci byli miłością że nawet nie uważali na mszę, co prawdę mówiąc wielkim jest grzechem.

Tymczasem Triwuld usiadł za niemi w ławce, słuchał ich rozmowy i podniecał w sobie zawziętość. Natenczas ksiądz wstąpił na ambonę i rzekł: « Mili chrześcijanie, ogłaszam wam zapowiedzi Teobalda i Niny Dei-Gieraci, czy kto z was ma co przeciw temu małżeństwu? »

« Ja się temu sprzeciwiam, » krzyknął Triwuld, i w tej chwili zadał obu kochankom kilkanaście ciosów sztyletem.

Chciano go przytrzymać, ale znowu wziął się do sztyletu, wymknął się z kościoła, następnie z miasta i uciekł do Wenecyi. Triwuld był pyszny i zepsuty przez los, ale duszę miał tkliwą; zgryzoty sumienia zemściły się za nieszczęśliwe ofiary. Triwuld tulał się od miasta do miasta i w rozpaczę pędził życie.

Po kilku latach, krewni jego załagodzili całą sprawę i powrócił do Rawenny; ale nie był to już ten sam młodzieniec błyszczący szczęściem i dumny z swojej urody. Zmienił się tak dalece że własna mamka nie mogła go poznać.

Zaraz pierwszego dnia po przybyciu, Tri-

wuld wywiedział się gdzie był grób Niny; powiedziano mu że razem ze zwłokami kochanka została pochowana w kościele świętego Piotra, tuż obok miejsca gdzie ich zamordowano. Triwuld drżący poszedł do kościoła, upadł na grób i oblał go rzewnymi łzami. Pomimo całej boleści jakiej nieszczęśliwy zabójca doznał w tej chwili, łzy przecież ulżyły mu na sercu; dał więc swoją kiesę zakrystyanowi i otrzymał pozwolenie wchodzenia do kościoła kiedy mu się tylko spodoba. Odtąd przychodził każdego wieczora i zakrystyan tak się do niego przyzwyczaił że niezwracał nań najmniejszej uwagi.

Pewnego wieczoru, Triwuld przepędziwszy poprzednią noc bezsennie, zasnął na grobie, a gdy się obudził znalazł kościół już zamknięty; postanowił więc śmiało przepędzić noc w miejscu które tak zgadzało się z jego głębokim smutkiem. Słuchał jak godziny były jedna za drugą i żałował tylko, że każdy ostatni dźwięk niebył ostatnią chwilą jego życia.

Nareszcie północ uderzyła. Otworły się drzwi od zakrystyi i Triwuld ujrzał zakrystyana wchodzącego z latarnią w jednej, z miotłą zaś w drugiej ręce. Nie był to je-

dnak zwyczajny zakrystyan ale kościotrup; miał wprawdzie nieco skóry na twarzy i coś nakształt zapadłych oczu, ale okrywająca go opanoła wyraźnie pokazywała że na kościach zupełnie nie było ciała.

Okropny zakrystyan postawił latarnię na wielkim oltarzu i pozapałał świece jak do niesporów; następnie zaczął zamiatać kościół i okurzać ławki, przeszedł nawet kilka razy obok Triwulda ale nie zdawał się go spostrzegać. Nareszcie zbliżył się do drzwi zakrystyi i jął dzwonić w sygnaturkę; na ten dźwięk podniosły się grobowce, wyszli umarli owinięci w całuny i na posępną nutę zawiedli hymny i żałobne i litanie.

Gdy tak przez jakiś czas już wyspiewywali, jeden martwiec odziany w albę i stulę wstąpił na ambonę i rzekł: « Mili bracia, ogłaszam wam zapowiedzi Teobalda i Niny Dei-Gieraci, przekłety Triwuldzie, czy masz co przeciw temu? » —

Tu ojciec mój przerwał teologowi i zwracając się do mnie, rzekł: « Synu mój Alfonsie, czy zląkłbyś się gdybyś był na miejscu Triwulda. »

« Drogi ojcze, — odpowiedziałem — sądzę że zląkłbym się niesłychanie. »

Na te słowa, ojciec mój, porwał się uniesiony szalonym gniewem, poskoczył do szpady i chciał mnie nią przybić do ściany.

Obecni rzucili się między nas i przecie zdołali go uspokoić. Gdy usiadł na swoim miejscu, spojrzal na mnie straszliwie i rzekł: «Synu niegodny twojego ojca, nikczemność twoja hańbą okrywa pod pewnym względem pulk gwardyi wallońskiej w którym cię chciałem umieścić.»

Po tych gorzkich wymówkach na które myślałem że umrę ze wstydu, nastąpiło głębokie milczenie. Garcias pierwszy go przerwał i zwracając się do mego ojca rzekł: «Czy nie lepiej byłoby Jaśnie Wielmożny Panie aby zamiast tego wszystkiego, można było przekonać syna Waszej Miłości, że niema na świecie ani widm, ani upiorów, ani umarłych którzy śpiewają litanije. Tym sposobem, bezwątpienia panicz nie drzałby na ich wspomnienie.»

«Mości Hierro, — odpowiedział cierpko mój ojciec, — zapominasz Wacpan że wczoraj miałem zaszczyt pokazywać mu historję o duchach, napisaną własną ręką mego pradiada.»

«Ja bynajmniej, — odparł Garcias — nie

zadaje fałszu pradziadowi Jaśnie Wielmożnego Pana.»

«Jak to rozumiesz, — rzekł ojciec — bynajmniej nie zadaje fałszu. Czy wiesz że to wyrażenie przypuszcza możność zadania fałszu memu pradziadowi, przez Wacpana.»

«Jaśnie Wielmożny Panie, — mówił dalej Garcias, — wiem że jestem zbyt małoznaczącą osobą, aby Jaśnie Wielmożny pradiad Waszej Miłości, miał wymagać po mnie jakiegokolwiek zadosyć uczynienia.»

Wtedy mój ojciec przybrawszy jeszcze straszliwszą postawę, zawołał: «Hierro! niech cię Bóg broni abyś miał czynić wymówki, gdyż takowe przypuszczają możność obrazy.»

«W takim razie, — rzekł Garcias — niepozostaje mi jak tylko z pokorą poddać się karze jaką Jaśnie Wielmożny Pan w imieniu swego pradiada raczy na mnie wymierzyć, śniem tylko błagać aby dla ochrony godności mego powołania, kara ta została mi wyznaczoną przez naszego spowiednika; tym sposobem będę mógł ją uważać za pokutę kościelną.»

«To nie jest zła myśl, — rzekł mój ojciec znacznie uspokojony. — Pamiętam że kiedyś napisał mały traktat o zadosyć uczy-

nieniach w razie gdyby pojedynek niemógł mieć miejsca; muszę się nad tem głębiej zastanowić.»

Mój ojciec zdawał się z początku głęboko rozmyślać nad tym przedmiotem, ale przechodząc z jednych uwag do drugich, zasnął nareszcie w swoim krześle. Matka moja i teolog oddawna już spali i Garcias niebawem poszedł za ich przykładem. Natenczas ja odszedłem do mego pokoju i tak minął pierwszy dzień powrotu do rodzicielskiego domu.

Nazajutrz z rana fechtowałem się z Garciasem, następnie poszedłem na polowanie, po wieszce zaś gdy wszyscy zasiedli koło komina, mój ojciec znowu posłał teologa po wielką księgę. Przewielebny przyniósł ją, otworzył na pamięć i zaczął czytać co następuje:

HISTORIA LANDULFA Z FERRARY.

W pewnem mieście włoskiem nazwanem Ferrara, żył raz pewien młodzieniec nazwiskiem Landulf. Był to rozpustnik bez czci i wiary, który zgrozą przejmował wszystkich pobożnych mieszkańców. Ten niegodziwiec szukał tylko podobnych sobie kobiet, żadna

jednak nie podobała mu się tyle ile Bianka de Rossi z powodu że wszystkie inne przewyższała w lekkomyślności.

Bianka nie tylko była rozpustną, chciała złota i zepsutą w głębi serca, ale nadto wymagała zawsze aby jej kochankowie zniżali się do niej hańbiącemi postępkami; nalegała więc na Landulfa aby każdego wieczora prowadził ją na wieszce do jego matki i siostry. Landulf natychmiast poszedł do matki i oświadczył jej ten zamiar, jak gdyby nie w tem nie widział nieprzyzwoitego. Biedna matka zalała się łzami i zaklinała syna aby miał wzgląd na dobrą sławę siostry. Landulf pozostał głuchym na te prośby i przyrzekł tylko dochować ile możności tajemnicy, potem przyprowadził Biankę do domu. Matka i siostra Landulfa przyjęły niegodziwą daleko lepiej niż na to zasługiwała; ale Bianka widząc ich dobroć podwoiła jeszcze zuchwałość, zaczęła rozprawiać o nieprzyzwoitych rzeczach i dawać siostrze swego kochanka nauki, bez jakich ta byłaby się zupełnie obeszała. Nareszcie wyprawiła obie z pokoju, mówiąc że dość już ją znudzily.

Nazajutrz, bezwstydna rozniosła tę historję po całym mieście, tak że przez kilka dni o ni-

czem innym nie mówiono; niebawem wieść o tym wypadku doszła Odoarda Zampi, brata matki Landulfa. Odoardo wcale nie był człowiekiem bezkarnie puszczającym urazę, ujął się strony swej siostry i tego samego dnia kazał zamordować niegodziwą Biankę. Gdy Landulf udał się do swej kochanki, znalazł ją broczącą we krwi i nieżywą. Wkrótce dowiedział się że to była sprawa jego wuja, pobiegł więc chcąc go karać, ale dzielni towarzysze otaczający Odoarda naigrawali się jeszcze z jego bezsilnej złości.

Landulf nie wiedząc na kim wyrzucić swoją wściekłość, pobiegł do matki aby na niej pomścić swojej krzywdy. Biedna kobieta właśnie siadała z córką do wieczerzy i widząc syna wchodzącego zapytała, czy dziś Bianka przyjdzie do stołu?..

« Oby mogła przyjść, — krzyknął Landulf — i zaprowadzić cię do piekła razem z twoim bratem i całą rodziną Zampich. »

Nieszczęśliwa matka padła na kolana wołając: « Wielki Boże, przebacz mu jego bluźnierstwu! »

W tej chwili drzwi otwały się z loskotem i ujrzano wchodzące straszliwe widmo, pokryte ranami sztyletu, w którym

jednak nie można było nierozpoznać trupa Bianki.

Matka i siostra Landulfa zaczęły żarliwie się modlić i Bóg udzielił im łaskę zniesienia tego okropnego widoku.

Wiedźma zbliżyła się wolnymi krokami i zasiadła do stołu jak gdyby chciała społu wieczerzać. Landulf z odwagą, jaką samo tylko piekło mogło go natchnąć, podał jej półmisek. Widmo otworzyło tak wielką paszczę że głowa zdawała mu się łupać na dwoje i zionęło czerwonym płomieniem; następnie wyciągnęło osmołoną rękę, wzięło kawałek, połknęło go i wnet usłyszano jak spadał pod stół. Tym sposobem pożarło cały półmisek, ale wszystkie kawałki upadały pod stół. Wtedy zwracając straszliwe oczy na gospodarza, rzekło:

« Teraz muszę ci podziękować za wieczrę drogi Landulfie. » Przy tych słowach zarzuciło mu na szyję skrwawione ręce, zaczęło uśmiechać się i kłapać zębami... —

Tu mój ojciec przerywając spowiednikowi obrócił się do mnie i rzekł:

« Synu mój Alfonsie, czy zląkłbyś się gdybyś był na miejscu Landulfa?... »

« Kochany ojcze, — odpowiedziałem — zaręczam że wcale bym się nie zląkł. »

Odpowiedź ta ucieszyła mego ojca; przez cały wieczór był wesół i z radością na mnie poglądał.

Tak przepędzaliśmy dni jeden za drugim, z tą różnicą że w zimie zasiadaliśmy koło komina, w lecie zaś na ławce przypartej do zamkowej bramy. Sześć lat upłynęło w tym słodkim pokoju i gdy teraz sobie przypominam, zdaje mi się że każdy rok nie trwał dłużej jak tydzień.

Gdy skończyłem siedemnasty rok życia, ojciec pomyślił o umieszczeniu mnie w pułku gwardyi wallońskiej, i w tym celu napisał do kilku dawnych towarzyszków na których najwięcej jeszcze liczył. Ci zacni i szanowni wojskowi połączyli wspólne starania i otrzymali dla mnie patent na kapitana. Mój ojciec otrzymawszy tę wiadomość tak dalece był nią wzruszony, że lękano się o jego życie; wszelako niebawem przyszedł do siebie i od-tąd zajmował się tylko przygotowaniem do mego wyjazdu. Chciał abym udał się przez morze i wylądowawszy w Kadyxie, naprzód przedstawił się Don Henrykowi de Sa, wielkorządcy prowincyi, który najwięcej przyczynił się do otrzymania dla mnie stopnia.

Gdy powóz pocztowy zajechał już na po-

dwórce zamkowe, ojciec mój zaprowadził mnie do swego pokoju i zaryglowawszy drzwi za sobą, rzekł: « Kochany Alfonsie, pragnę powierzyć ci tajemnicę którą otrzymałem od mego ojca a którą ty przekażesz kiedyś twemu synowi, gdy go jej godnym osądzisz. »

Byłem przekonany że ta tajemnica tyczyła się jakiego ukrytego skarbu, odpowiedziałem więc: że zawsze uważałem złoto jedynie jako środek przyjścia w pomoc nieszczęśliwym.

« Mylisz się kochany Alfonsie, — odparł mój ojciec, — nie chodzi tu bynajmniej o złoto lub srebro. Pragnę nauczyć cię nieznanego dotąd pchnięcia, za pomocą którego zasłaniając prawy bok i szybkim zwrotem podbijając końcem szpady rękojeść przeciwnika, jesteś pewnym zawsze wytrącić mu broń z ręki. » To mówiąc wziął florety, nauczył mnie nieznanego pchnięcia; dał błogosławieństwo na drogę i zaprowadził do powozu. Uściskałem moją matkę i po chwili opuściłem zamek rodzicielski.

Udałem się łądem aż do Flessingi, tam wsiadłem na okręt i wylądowałem w Kadyxie. Don Henryk de Sa zajął się mną jak gdybym był własnym jego synem, dopomógł mi do przyzwoitego oporządzenia się i polecił dwóch

slużących, z których jeden zwał się Lopez drugi zaś Moskito. Z Kadyxu przybyłem do Sewilli, z Sewilli do Kordowy, następnie do Anduhar z kąd postanowiłem obrócić drogę przez Sierra-Morena. Na nieszczęście przy źródle w Alcornoques, oba słuźący mnie opuścili. Pomimo to, tego samego dnia dostałem się do Venta Quemada, wczoraj zaś wieczorem do twojej pustelni. —

« Kochany synu, — rzekł pustelnik — twoja historia mocno mnie zajęła i dziękuję ci żeś mi ją raczył opowiedzieć. Widzę teraz po sposobie twego wychowania, że bojaźń jest dla ciebie zupełnie nieznanem uczuciem; ale ponieważ przepędziłeś noc w Venta Quemada, lękam się abyś tam nie był doświadczył nagabania dwóch wisielców i żebyś kiedyś nie uległ smutnemu losowi opętanego Paszeko. »

« Wielebny ojcze — odpowiedziałem — długom się zastanawiał tej nocy nad przygodami pana Paszeko. Jakkolwiek ma on diabła w ciele, przecież jest szlachcicem, nie sądzę więc aby wszystko co mówił nie było najistotniejszą prawdą. Z drugiej jednak strony, Innigo Velez, nasz spowiednik zamkowy zaręczył mi, że jakkolwiek dawniej znajdowali się opętani, zwłaszcza w pierwszych czasach

chrześcijaństwa, atoli dziś niema już ich zupełnie i jego świadectwo tem ważniejszym mi się wydaje, że ojciec mój rozkazał mi we względzie naszej religji, ślepo wierzyć czci-godnemu Velezowi. »

« Jako? — rzekł pustelnik, — nie widziałeś więc okropnej postaci opętanego, któremu djabli wylupili jedno oko?.. »

« I owszem mój ojcze, wszelako pan Paszeko, mógł innym sposobem nabawić się tego kalectwa. Wreszcie co się tyczy tych rzeczy, odnoszę się zawsze do tych którzy więcej umieją odemnie. Dość dla mnie że nie lękam się żadnych widm ani strachów. Jednakże jeżeli chcesz, dla zachowania spokoju duszy mojej, dać mi jaką świętą relikwję, przyrzekam nosić ją z wszelką wiarą i poszanowaniem. »

Pustelnik zdawał się uśmiechać z mojej prostoty, poczem rzekł: « Widzę mój synu, że masz jeszcze wiarę, ale obawiam się abyś na dal zdolał w niej wytrwać. Ci Gomelezowie od których wiedziesz twój ród po kądzieli, są od niedawna dopiero chrześcijanami, niektórzy z nich nawet, jak mówią, w głębi serca wyznają islamizm. W razie, gdyby ci ofiarowali niezmierne bogactwa, z warunkiem

przejścia na ich wiarę, co byś wtenczas uczynił?..»

«Nie przyjąłbym, — odpowiedziałem — gdyż mniemam że wyparcie się wiary lub opuszczenie sztandaru, zawsze może tylko okryć hańbą.»

Tu pustelnik znowu zdawał się uśmiechać i rzekł: «Ze smutkiem spostrzegam że cnoty twoje zasadzają się na zbyt wygórowanem uczuciu honoru i uprzedzam cię, że dziś niema już tyle pojedynków w Madrycie ile ich bywało za czasów twego ojca. Oprócz tego, cnoty dziś opierają się na innych, daleko trwalszych zasadach. Ale niechcę cię dłużej zatrzymywać gdyż masz jeszcze długą drogę przed sobą, zanim dostaniesz się do *Venta del Pegnon*, czyli gospody pod skałą. Oberżysta mieszka tam pomimo złodziejów, liczy bowiem na opiekę bandy cyganów która obozuje w okolicy. Po jutrze, przyjedziesz do *Venta de Cardegas* i wtedy będziesz już za Sierra-Moreną. Przy siodle znajdziesz niektóre zapasy na drogę.» To mówiąc pustelnik czule mnie uściskał, ale nie dał mi żadnej relikwji dla zachowania spokoju mej duszy. Nie chciałem mu przypominać i dosiałszy konia, opuściłem pustelnię.

Przez drogę rozmyślałem nad szczególniejszemi mniemaniami pustelnika, nie mogłem bowiem pojąć jakim sposobem cnota może opierać się na silniejszej podstawie jak na uczuciu własnego honoru, który sam obejmował w sobie wszystkie cnoty.

Właśnie zastanawiałem się nad temi uwagami, gdy nagle jakiś jeździec ukazał się z poza skały, stanął mi w poprzek drogi i rzekł:

«Czy pan nazywasz się Alfonsem van Worden?»

Odpowiedziałem że tak jest.

«W takim razie, aresztuję pana w imieniu króla i przenajświętszej inkwizycyi; racz mi pan oddać szpadę.» W milczeniu spełniłem jego żądanie, gdy w tem jeździec gwiznął i zewsząd otoczony zostałem uzbrojonymi. Rzucili się na mnie, związali mi ręce w tył, zapuścili manowcami w góry i po godzinie drogi ujrzałem przed sobą warowny zamek. Spuszczono most zwodzony i wjechaliśmy w dziedziniec; natychmiast zaprowadzono mnie do narożnej wieży i wepchnięto do więzienia, nie troszcząc się bynajmniej o rozwiązanie powrozów które mnie krępowały. Więzienie było zupełnie ciemnem, niemogłem

wyciągnąć ręk przed siebie, lękając się zatem uderzyć głową w mur, usiadłem w miejscu gdzie mnie postawiono, i jak można łatwo pojąć, zacząłem rozmyślać nad przyczynami tak gwałtownego ze mną postępowania. Zrazu myślałem że inkwizycya schwytala Eninę i Zibelę i że murzynki opowiedziały wszystko co się stało w Venta Quemada. W takim przypadku, bezwątpienia zadadzą mi zapytania względem pięknych afrykanek. Miałem dwie drogi przed sobą: albo zdradzić moje kuzynki i złamać dane im słowo honoru, lub też wyprzeć się ich znajomości; utrzymując to drugie zdanie, byłbym zabrął w pasmo bezwstydných kłamstw, czego bynajmniej nie chciałem.

Namyśliwszy się więc przez chwilę, postanowiłem zachować jak najgłębsze milczenie i na wszelkie zapytania nie odpowiadać ani słowa.

Raz usunawszy tę wątpliwość, zacząłem marzyć o wypadkach dwóch dni ubiegłych. Byłem mocno przekonany że miałem do czynienia z istotami z tego świata, jakieś tajemne uczucie silniejsze nad wszelkie wyobrażenia o potędze złych duchów utwierdzało mnie w tem mniemaniu; wszelako oburzała mnie

niegodziwa psota przeniesienia mnie pod szubienicę.

Tak mijaly godziny. Głód zaczął mi dośkwierać; slysząc że w więzieniach nie brakowało chleba i dzbanków z wodą, jałem szukać nogami czy nie znajde jakiego pożywienia. W istocie wkrótce domacałem się jakiejś półkuli, która rzeczywiście była chlebem; szło tylko jakim sposobem ponieść go do ust. Położyłem się obok chleba i chciałem go schwycić zębami, ale za każdym razem wymykał mi się dla braku oporu; natenczas przyparłem go do muru, i znalazłszy bochenek rozkrojony przez środek, zdołałem go ugryźć. Dziękowałem opatrności że pomysłano wprzódy o rozkrojeniu chleba, w przeciwnym bowiem razie usiłowania moje byłyby pozostały bezskutecznemi. Następnie domacałem się dzbanka, ale znowu żadnym sposobem nie mogłem do ust go przychylić; w istocie zaledwie odwilżyłem gardło, wnet cała woda wylała się na ziemię. Tak czyniąc dalsze poszukiwania, znalazłem w kącie garść słomy i położyłem się. Związano mi ręce tak sztucznie że niedoznawałem żadnej boleści i wkrótce zasnąłem.

DZIEŃ CZWARTY.

Zdawało mi się że spałem już od kilku godzin gdy wtem nagle mnie obudzono. Ujrzałem wchodzącego mnicha z zakonu świętego Dominika a za nim kilku ludzi nader nieprzyjemnej powierzchowności. Niektórzy z nich nieśli pochodnie, inni zaś zupełnie nieznanymi narzędziami, służące zapewne do tortury.

Przypomniałem sobie o mojem postanowieniu i zamierzylem na włos nieodstąpić od niego; przywiodłem na pamięć rady mego ojca. Wprawdzie nigdy nie brano go na tortury, ale wiedziałem że wśród licznych i bolesnych operacyi chirurgicznych jakich doświadczał, nigdy nawet nie krzyknął.

« Będę go więc naśladował, — rzekłem do siebie — nie wyrzeknę ani słowa a nawet nie westchnę. » Inkwizytor kazał przynieść sobie krzesło, usiadł obok mnie, przybrał wyraz łagodności i słodyczy, i w te słowa się odezwał: « Drogi, kochany synu, podziękuj niebu

że cię przyprowadziło do tego więzienia; ale jakież dałeś do tego powód? jaki grzech popełniłeś? wypowiadaj się, w łzach i pokorze szukaj ulgi na mojem łonie. — Nie odpowiadasz — niestety, synu mój, źle, bardzo źle czynisz. My według naszego systemu, zostawiamy winowajcy wolność oskarżania samego siebie. Wyznanie to jakkolwiek nieco wymuszone, ma przecież swoją dobrą stronę, zwłaszcza gdy winny raczy wymienić współwinowajców. Jeszcze milczysz?. Tem gorzej dla ciebie, widzę że muszę sam cię naprowadzić na dobrą drogę. Czy znasz dwie afrykańskie księżniczki, czyli raczej dwie niegodziwe czarownice, więdźmy przebrzydłe.... djablicie wcielone?. Nic nie mówisz? niech więc wprowadzą te dwie infantki z dworu Lucypera.»

Tu wprowadzono obie moje kuzynki z rękami również jak moje w tył związanymi, poczem Inkwizytor tak dalej mówił.

« Coż więc kochany synu, poznajeszże je? Ciągłe milczysz?. Drogi synu, niech cię to wcale nie przestrasza co ci powiem. Sprawia ci tu małą boleść; widzisz te dwie deski? Włożą ci nogi między te deski i skrepują je sznurami, później zabiją ci młotem między

kolana te oto kliny. Z początku nogi ci narzękną, dalej krew wytryśnie ci z wielkich palców, z drugich zaś poopadają paznogie; podeszwy ci popękają i wycieknie ci tłustość pomieszana z rozgniecionem ciałem. To cię już więcej będzie boleć. Jeszcze nie nie odpowiadasz?.. masz słusność, to są dopiero katusze przygotowawcze. Pomimo to jednak zemdlejesz, ale niebawem zapomocą tych oto soli i spirytysów wrócisz do przytomności. Natenczas wyjmą ci kliny i zabiją te tutaj większe. Za pierwszym uderzeniem podrzgocą ci kolana i kostki, za drugim, nogi wzdłuż ci popękają; szpik wytryśnie i razem z krwią zboczy tę słomę. Obstajesz przy twojem milczeniu?. dobrze więc, niech mu ścisną palce.» Na te słowa oprawcy porwali mnie za nogi i położyli między dwie deski.

« Niechcesz mówić?.. zabijcie mu kliny!.. milczysz!.. podnieście młoty!..»

W tej chwili dały się słyszeć liczne wystrzały broni. Emina krzyknęła: « O proroku! jesteśmy ocaleni! Zoto przybywa nam na pomoc.» Zoto wszedł z swoją czeredą, wyrzucił za drzwi oprawców i przykuł Inkwizytora do obręczy żelaznej białej w mur więzienia. Następnie rozwiązał mnie i dwie Maurytanki.

Skoro tylko dziewczęta poczuły wolne ramiona, natychmiast zarzuciły mi je na szyję. Rozłączono nas. Zoto rozkazał mi usiąść na konia i ruszyć naprzód, zaręczając że wkrótce z kobietami za mną pośpieszy.

Przednia straż z którą wyruszyłem składała się z czterech jeźdźców. O świcie przybyliśmy na puste miejsce i przemieniliśmy konie; następnie drapaliśmy się po wierzchołkach i garbach stromych gór.

Okolo czwartej po południu, dostaliśmy się między wydrążenia skaliste gdzie zamierzaliśmy noc przepędzić; z mojej jednak strony cieszyłem się że słońce jeszcze nie zaszło, gdyż widok był zachwycający zwłaszcza dla mnie, który dotąd widziałem tylko Ardenny i Zelandyę. U stóp moich rozciągała się czarująca Vega de Granada, którą mieszkańcy tego kraju z dumą nazywają *la nuestra Vegilla*. Widziałem ją całą z jej sześcioma miastami i czterdziestoma wioskami.

Henil, krętem korytem toczył swoje fale, potoki z hukiem spadały ze szczytów Alpuhary; migdałowe gaje, wspaniałe gmachy, ogrody i nieskończona ilość letnich domków wprawiały mnie w podziw. Zachwycony czarownym widokiem tylu przedmiotów razem

nagromadzonych, wszystkie zmysły w wzrok zestrzeliłem i zapomniałem zupełnie o moich kuzynkach, które niebawem przybyły w lektykach niesionych przez konie. Gdy ziasiadły na poduszkach rozłożonych w jaskini i wypoczęły nieco, rzekłem do nich: « Moje panny, bynajmniej nie żalę się na noc jaką przepędziłem w Venta Quemada, ale wyznam szczerze, że sposób w jakim ją zakończyłem, niewypowiedzianie nie przyszedł mi do smaku.»

« Nie oskarżaj nas Alfonsie, — rzekła Emina, — jak tyłkó o przyjemną stronę snów twoich; wreszcie na cóż narzekasz? czyliż nie zyskałeś natomiast sposobności okazania nadludzkiej odwagi? »

« Jako? — przerwałem — miałaby kto powątpiewać o mojej odwadze?.. Gdybym znalazł takiego, bilbym się z nim przez płaszcz, przez chustkę, na sztylety, na coby tylko sam zechciał. »

« Przez płaszcz, przez chustkę?.. nie rozumiem wcale tych wyrażeni, — odpowiedziała Emina — wiem tylko że są rzeczy o których ci mówić nie mogę. Niektóre nawet są takie o których sama dotąd nic nie wiem. Ja wykonywam tylko rozkazy naczelnika naszej rodziny, następcy Szeika Massuda który po-

siada tajemnicę Kassar Gomcleza. Mogę ci tylko powiedzieć że jesteś naszym blizkim krewnym. Oidor Grenady, ojciec twojej matki, miał syna który stał się godnym odkrycia mu tajemnicy, przyjął wiarę proroka i zaślubił cztery córki Deja panującego w ówczas w Tunis. Najmłodsza z nich miała tylko dzieci, i ta była właśnie naszą matką. Wkrótce po narodzeniu Zibeldy, mój ojciec i trzy jego żony umarli na zarazę która w tym czasie pustoszyła brzegi Barbaryi.... ale dajmy pokój tym rzeczom o których sam później dokładnie się dowiesz. Mówmy o tobie, o wdzięczności jaką ci jesteśmy winne, czyli raczej o naszym uwielbieniu dla twojej odwagi. Z jakąż obojętnością zapatrywałeś się na przygotowania do katuszy?... jak religijną stałość zachowałeś dla twego słowa?. Tak, Alfonsie, przeszedłeś wszystkich bohaterów naszego pokolenia i odtąd należemy do ciebie.»

Zibelda, która nie przeszkadzała siostrze ile razy rozmowa toczyła się o rzeczach poważnych, odbierała swoje prawa gdy następowała chwila uczucia. Okryty byłem przymilaniami, pochlebstwami i zadowolony z siebie i z drugich.

Wkrótce przybyły murzynki, zastawiona wieczerzę do której sam Zoto nam usługiwał z oznakami najgłębszego uszanowania. Po wieczerzy, murzynki posłały w jaskini wygodne łoże dla moich kuzynek, ja wynalazłem sobie drugą i niebawom oddaliśmy się spoczynkowi, którego potrzeba tak silnie dawała się nam uczuwać.

DZIEŃ PIĄTY.

Nazajutrz o świcie karawana gotową była do pochodu. Zstapiliśmy z gór i zeszlśmy na głębokie doliny czyli raczej w przepaście które zdawały się dosięgać wnętrzości ziemi. Przerzywały one pasmo gór w tylu rozmaitych kierunkach, że niepodobienstwem było rozpoznać położenie lub cel do którego zmierzaliśmy.

Postępowaliśmy tak przez sześć godzin i przybyliśmy do zwalisk opuszczonego miasta. Tam Zoto, kazał nam zsiąść z koni i zaprowadziwszy mnie do studni rzekł: «Panie Alfonsie, racz spojrzeć w tę studnię i powiedz mi co o niej sądzisz?»

Odpowiedziałem że widział wodę i że sądziłem że to była studnia.

«Mylisz się pan, — rzekł Zoto — jest to wejście do mego pałacu.» To mówiąc pochylił głowę nad otworem i wydał szczególny krzyk.

Na ten odgłos ujrzałem jak deski wychodziły z boku cembrowin i wznosiły się na kilka stóp nad wodą, następnie uzbrojony człowiek wyszedł tym samym otworem, za nim drugi i trzeci.

Gdy wydostali się na brzeg, Zoto rzekł pokazując mi dwóch pierwszych: « Mam zaszczyt przedstawić panu dwóch moich braci Czczia i Moma; bezwątpienia widziałeś ich pan powieszonych na pewnej dobrze znanej ci szubienicy, ale to nie przeszkadza że obaj są zdrowi i silni i będą zawsze służyć na pańskie rozkazy, są bowiem równie jak i ja w służbie i na żołdzie wielkiego Szejka Gomelezów. »

Odpowiedziałem mu że mocno byłem ucieszony widokiem braci człowieka, który mi wyświadczył tak ważną przysługę.

Chcąc nie chcąc musieliśmy spuścić się do studni. Przyniesiono sznurową drabinę po której dwie siostry zgrabniej zestąpiły aniżeli byłbym się spodziewał. Udałem się w ich ślady. Stanąwszy na deskach, znaleźliśmy małe boczne drzwi, któremi trzeba było wejść skurczywszy się we dwoje. Wkrótce jednak spostrzeżliśmy szerokie wschody, wykute w skale i oświetlone lampami. Zeszliśmy

przeszło dwieście wschodów w głąb ziemi, nakoniec dostaliśmy się do podziemia rozdzielonego na mnóstwo komnat i mniejszych pokojów. Całe mieszkanie, dla ochrony od wilgoci, pokryte było wewnątrz bluszczem. Widziałem później w Cintra, niedaleko Lizbony klasztor wykuty w skale którego celem była sama roślina pokrywała i który z tego powodu nazywano bluszczowym klasztorem. Oprócz tego ciągle podsycane ognie utrzymywały łagodne ciepło w podziemiu Zota. Konie służące dla jego jazdy stały w przyległych stajniach; w razie potrzeby także dostawały się na ziemię, szerokim otworem wychodzącym na dolinę, urządzono nawet machinę do łatwiejszego ich dobywania, wszelako rzadko kiedy jej używano.

« Wszystkie te cuda, — rzekła Emina — są dziełem Gomelezów. Wykuli oni tę skałę podczas gdy byli jeszcze panami kraju, czyli raczej dokończyli pracę zaczęta przez pogan zamieszkujących Alpuharę w chwili ich przybycia. Uczeni utrzymują, że w tem samym miejscu znajdowały się niegdyś kopalnie prawdziwego złota betyckiego, dawne zaś przepowiednie głoszą, że cała ta okolica powróci kiedyś w posiadanie Gomelezów. Co mówisz

o tem Alfonsie?. to byłoby piękne dziedzictwo.»

Nie podobały mi się te słowa Eminy i wyraźnie jej to oświadczyłem, następnie zwracając rozmowę, zapytałem jakie są jej zamiary na przyszłość?...

Emina mi odrzekła, że potem wszystkim co zaszło nie mogły dłużej pozostać w Hiszpanji, ale chciały nieco wypocząć, dopóki nie przygotowano dla nich okrętu.

Zastawiono nam obfity obiad zwłaszcza w zwierzynę i suche konfitury. Trzej bracia usługiwali nam z bezprzykładną gorliwością. Uczyniłem uwagę moim kuzynkom, że niepodobieństwem było znaleźć bardziej uprzejmych wisielców. Emina przyznała mi słusność i zwracając się do Zota rzekła: «Bez wątpienia ty i twoi bracia musieliście doświadczyć w życiu dziwnych przygód, które z wielką przyjemnością radzibyśmy usłyszeć.»

Po chwili nalegania, Zoto zasiadł obok nas i zaczął w te słowa:

HISTORIA ZOTA.

Urodziłem się w mieście Benewencie, stolicy księstwa tego nazwiska. Ojciec mój, ró-

wnie jak ja, Zoto nazwany, był z powołania nader biegłym zbrojownikiem. Ponieważ jednak było ich trzech w mieście i tamci dwaj mieli więcej szczęścia, przeto rzemiosło jego zaledwie wystarczało na wyżywienie żony i trojga dzieci to jest mnie i dwóch moich braci.

We trzy lata po ożenieniu mego ojca, siostra młodsza mojej matki zaślubiła kupca oliwy, nazwiskiem Lunardo, który na podarunek ślubny dał jej parę złotych kółczyków i takiż łańcuszek na szyję. Moja matka wróciwszy z wesela zdawała się być pogrążoną w głębokim smutku. Mąż chciał dowiedzieć się o przyczynie, ona długo wzbraniała się mu ją wyznać, nakoniec odkryła mu, że trawił ją żal że nie miała podobnych jak siostra kółczyków i łańcuszka. Ojciec mój nic na to nie odrzekł. Miał w swoim składzie cudownie wyrobioną strzelbę do polowania z takimiz pistoletami i kordelasem. Strzelba, nad którą mój ojciec przez cztery lata pracował, dawała cztery strzały od jednego nabicia; mój ojciec cenil ją trzysta neapolitańskich uncyi złota, wyszedł jednak na miasto i całą broń sprzedał za ośmdziesiąt uncyi, następnie kupił kółczyki i łańcuszek i przyniósł je żonie. Matka moja tego samego dnia poszła pochwalić się przed

żoną Lunarda i niesłychanie ucieszyła się gdy znaleziono kółczyki jej daleko piękniejsze i bogatsze.

W tydzień potem żona Lunarda przysła odwiedzić moją matkę. Tym razem miała włosy splecione w jeden zwinięty warkocz i i przytwierdzony wielką złotą szpilką, zakończoną misternie wyrobioną rubinową różą. Ta złota róża zapuściła w serce mojej matki dotkliwe kolce. Znowu zaczęła się dręczyć i nie pierwaj przestała, aż mój ojciec przyrzekł że kupi jej taką samą szpilkę. Tymczasem szpilka podobna kosztowała czterdzieści pięć uncyi, i mój ojciec nie mając ani tyle pieniędzy ani sposobów nabycia ich, wkrótce wpadł w tenże sam smutek w jakim przed kilkoma dniami matka moja zostawała.

Tymczasem pewnego dnia wszedł do mojego ojca najemny wojak tamtejszy nazwiskiem Grillo-Monaldi i przyniósł mu pistolety do wyczyszczenia. Monaldi, widząc posępność mego ojca, zapytał go o przyczynę i ten mi wszystko wyjawiał. Po chwili namysłu, Monaldi rzekł do niego temi wyrazy: «Panie Zoto, jestem ci więcej winien anizeli sam sądzisz, przed kilkoma dniami znaleziono przyładkiem mój sztylet w ciele człowieka za-

mordowanego na drodze do Neapolu. Są posyłał ten sztylet do wszystkich zbrojowników, a ty wspomniałomyślnie oświadczyłeś że go po raz pierwszy widzisz, jakkolwiek sztylet wychodził z twego warsztatu i mnie samemu go sprzedałeś. Gdybyś był prawdę powiedział, mogłeś mnie wprowadzić w niepotrzebny kłopot. Oto są więc czterdzieści pięć uncyi których tak potrzebujesz, nadto pomnij że odtąd kiesa moja jest na twoje rozkazy.» Ojciec mój z wdzięcznością przyjął pieniądze i natychmiast poszedł kupić złotą szpilkę, w której tego samego dnia matka moja wystąpiła przed swoją dumną siostrą.

Moja matka wróciwszy do domu nie wątpila że Pani Lunardo wkrótce ukaże się ustrojona w jaki nowy klejnot. Ale ta powzięła zamiar wcale innego rodzaju. Chciała pójść do kościoła z najętym lokajem w liberyi i zwierzyła się z tym zamiarem swemu mężowi. Lunardo, z natury niesłychanie skąpy, łatwo przystawał na kupno kawalka złota które zdawało mu się równie bezpiecznem na głowie żony jak w jego własnej szkatule. Ale zupełnie odmiennego był zdania gdy go proszono o danie uncyi złota dla próżniaka, który nie wiedzieć dla czego, przez pół godziny

miał stać za ławką jego żony. Jednakże Pani Lunardo tak go męczyła i dręczyła bezustannie, że postanowił na koniec dla oszczędności sam ubrać się w liberyę i pospieszyć za żoną do kościoła. Pani Lunardo znalazła że mąż równie był zdolnym do tego rzemiosła jak ktokolwiek inny i w nadchodzące święta ukazała się w kościele z lokajem tego nowego rodzaju. Wprawdzie sąsiedzi śmieli się z tej maskarady, ale ciotka moja przypisywała to uczuciu niepochamowanej zazdrości.

Gdy zbliżała się do kościoła, dziady i baby zaczęły krzyczeć na całe gardło w właściwym im narzeczu: *Mira Lunardu che salu criadu de sua mugiera*. Ponieważ jednak biedni do pewnego stopnia tylko posuwają swoją śmiałość, przeto Pani Lunardo spokojnie weszła do kościoła gdzie rozstąpiono się przed nią z wszelkiem poszanowaniem. Podano jej wodę święconą, posadzono w ławce, podczas gdy matka moja stała wraz z innymi kobietami w kruchcie.

Matka moja powróciwszy do domu, natychmiast zaczęła obszywać niebieski kaftan mego ojca, starym galonem odprutym od ładownicy jakiegoś muszkietu. Ojciec mój zdziwiony zapytał o przyczynę, na co opo-

wiedziała mu postępek siostry i jak mąż teź był tak grzecznym, że ubrawszy się w liberyę, poszedł za nią do kościoła. Mój ojciec zapewnił ją że nigdy nie zdobędzie się na tę grzeszność, wszelako następnej niedzieli najął za uncya złota wygalonowanego lokaja który poszedł za moją matką do kościoła, i znowu Pani Lunardo tym razem musiała ustąpić siostrze.

Tego samego dnia, zaraz po mszy, Monaldi przyszedł do mego ojca i odezwał się temi słowy: « Kochany Zoto, dowiedziałem się o współzawodnictwie w dziwactwach jakie żona twoja z jej siostrą wyprawiają. Jeżeli śpiesznie temu nie zaradzisz, będziesz nieszczęśliwym przez całe życie; masz więc dwie drogi przed sobą: albo dać żonie porządną naukę, lub też jąć się rzemiosła któreby zaspokoilo jej skłonność do wydatków. Jeżeli chwycisz się pierwszej drogi, ofiaruję ci moją laskę której często używałem z nieboszczką moją małżonką. Nie jest to wprawdzie jedna z tych czarodziejskich lasek, które ujęte za oba końce obracają się w rękach i służą do odkrywania źródeł a nawet czasami i skarbow, ale jeżeli weźmiesz ją za jeden koniec a drugi przyłożysz na plecy twojej żony, zaręczam

ze wkrótce łatwo ją wyleczysz ze wszystkich przywidzeń. Z drugiej strony, jeżeli pragniesz zaspokoić wszelkie jej żądania, ofiaruję ci przyjaźń najdzielniejszych ludzi w całych Włoszech, którzy na teraz radzi przebywają w Benewencie jako w mieście granicznym. Sądzę że mnie rozumiesz, namyśl się i daj mi odpowiedź.»

To mówiąc Monaldi położył swoją łaskę na warsztacie mego ojca i odszedł. Śród tego, matka moja po mszy, poszła na Corso i do kilku swoich przyjaciółek aby pochwalić się z swoim lokajem. Nareszcie wróciła uradowana do domu, ale mój ojciec całkiem inaczej ją przyjął aniżeli się tego spodziewała. Lewą ręką porwał ją za lewe ramię, prawą zaś ujawszy czarodziejską łaskę zaczął wykonywać rady swego przyjaciela Monaldeo. Mój ojciec z taką gorliwością oddał się udzielaniu tej nauki że matka moja padła zemdlona, co widząc przestraszony małżonek wyrzucił łaskę, jął błagać przebaczenia, otrzymał go i pokój znowu został przywrócony.

W kilka dni potem, ojciec mój udał się do Monaldeo i opowiedziawszy mu jak czarodziejska łaska mało skutkowała, polecił się

przyjaźni dzielnych towarzyszków o których ten mu wspominał. Monaldi w te słowa mu odrzekł: «Dziwi mnie to że niemając serca ukarać własnej żony, myślisz że ci wystarczy na zastępywanie podróżnym na publicznej drodze. Wreszcie możemy się o tem przekonać; serce ludzkie składa się z tylu przeciwieństw. Chętnie przedstawię cię moim przyjaciółom, ale musisz wprzód popelnić jakie morderstwo. Każdego wieczora po skończonej pracy, weź długą szpadę, zatknij sztylet za pas i przybrawszy postać nieco zuchwala, przechodź się pod galerią Madony. Być może że kto zażąda twojej pomocy, tymczasem bądź zdrow; oby niebo raczyło sprzyjać twoim przedsięwzięciom.»

Mój ojciec posłuchał rady Monaldeo i wkrótce spostrzegł że różni wojacy jemu podobni a nawet zbiry, pozdrawiali go ze znaczącym spojrzeniem. Po dwóch tygodniach takiej przechadzki jakiś nieznajomy zbliżył się do niego i rzekł: «Oto masz pan sto uncyi złota. Za pół godziny ujrzysz przechodzących dwóch młodych ludzi z białymi piórami na kapeluszach. Zbliżysz się do nich jak gdybyś chciał im powierzyć jaką tajemnicę i rzekniesz półgłosem: «Który z panów jest margrabia

Feltri?» Jeden z nich odpowie: «ja nim jestem.» Natenczas pchniesz go sztyłem, ale uważaj dobrze, w samo serce. Drugi młody człowiek jest nikczemnym tchórzem i zaraz ucieknie. Wtedy dobijesz Feltrego. Gdy wszystko już będzie skończonem, wracaj spokojnie do domu, i wcale nie staraj się schronić do kościoła. Ja będę tuż przy tobie.» Mój ojciec wypełnił słowo w słowo dane mu polecenie i gdy powrócił do domu, zastał już nieznanego którego nienawiści tak dobrze usłużył. «Panie Zoto, — rzekł tenże — mocno ci jestem obowiązany za wyświadczoną mi przysługę. Oto jest druga kiesa ze stoma uncjami złota które chciał przyjąć, i jeszcze jedna tej samej wartości którą wsuniesz w rękę sprawiedliwości gdyby chciała cię napastować.» Po tych słowach, nieznanomy zawiązał się w płaszcz i odszedł.

Wkrótce potem naczelnik zbirów stawił się u mego ojca, odebrawszy jednak sto uncji złota przeznaczonych dla sprawiedliwości, zaprosił go do siebie na przyjacielską wieczerzę. Udali się do mieszkania przypartego do publicznego więzienia i znaleźli już przy stole dozorcę i spowiednika więźniów. Mój ojciec był nieco wzruszonym, jak to

zwykle bywa po pierwszym morderstwie. Duchowny spostrzegłszy jego pomieszanie rzekł: «Odlóż na bok te smutki panie Zoto. Za msze w katedralnym kościele płaci się po dwa skudy od sztuki. Powiadają że zamordowano margrabiego Feltri. Każ zmówić ze dwadzieścia mszy za odpoczynek jego duszy a otrzymasz rozgrzeszenie ogólne.»

Po tych słowach już więcej nie wspomniano o tem co zaszło i wieczerza odbyła się wesoło.

Nazajutrz Monaldi przyszedł do mego ojca, powinszował mu zręczności i odwagi jakie okazał. Mój ojciec chciał mu zwrócić czterdzieści pięć uncji które dawniej był od niego pożyczył, ale Monaldi rzekł: «Zoto, obrazasz mnie — jeżeli raz wspomnisz mi jeszcze o tych pieniądzach, będę sądził że czynisz mi wyrzuty iż wtedy okazałem się dla ciebie zbyt skąpym. Kiesa moja jest na twoje usługi i możesz być przekonany o mojej przyjaźni. Nie będę ukrywał przed tobą że jestem naczelnikiem towarzyszków o których ci wspominałem; są to wszyscy ludzie honorowi i nieposzlakowanej uczciwości. Jeżeli chcesz do nich należeć, powiedz że jedziesz do Brescia dla zakupienia broni i złącz się z nami w Kapui.

Zajedź prosto do gospody pod Złotym krzyżem i bądź spokojnym o resztę.» We trzy dni potem mój ojciec wyjechał i odbył wyprawę równie zaszczytną jak zyskową. Jakkolwiek klimat Benewentu jest nader łagodnym, jednak mój ojciec nie przyzwyczajony do rzemiosła nie chciał podczas złej pory puszczać się na nowe wyprawy. Przepędził więc leże zimowe na łonie rodziny. Odtąd co niedziela, lokaj wygalonowany chodził za moją matką do kościoła, nadto sąsiadki podziwiały jej złote zapinki na czarnym aksamitnym gorsecie i także kółko do kluczków.

Z nadejściem wiosny, jakiś nieznajomy służący przyszedł do mego ojca prosząc aby raczył udać się z nim do bramy miasta. Tam znalazł, znakomitego jak się zdawało jeźdźca i czterech konnych. Nieznajomy rzekł mu: «Panie Zoto, weź tę kiesę z pięćdziesięcią cekinami, pośpiesz za mną do poblizkiego zamku, tymczasem zaś pozwolisz aby ci zawiązano oczy.»

Mój ojciec zgodził się na wszystko i po długich zakrętach przybyli nareszcie do zamku. Zaprowadzono go do obszernej komnaty i odwiązano mu oczy. Wtedy ujrzał zamaskowaną kobietę, przywiązaną do krzesła i

z zakneblowanemi ustami. Starzec rzekł do niego: «Panie Zoto, tu jeszcze masz sto cekinów, teraz bądź tak grzecznym i zamorduj tę kobietę.»

«Mylisz się pan, — odparł mój ojciec, — widzę że mnie pan wcale nie znasz. Wprawdzie zastępuję ludziom na rogu ulicy lub napadam na nich w lesie jak przystoi na człowieka honorowego, ale nigdy nie wypełniam obowiązków kata.» To mówiąc rzucił obie kiesy pod nogi mściwego małżonka, który więcej na niego nie nalegał, kazał mu znowu zawiązać oczy i polecił służącym aby go odprowadzili do bram miasta. Ten wspomniały i szlachetny postępek uczynił memu ojcu wiele zaszczytu, wkrótce jednak drugi w podobnym rodzaju równe zyskał mu pochwały.

Było w Benewencie dwóch ludzi bogatych i w znaczeniu, jeden z nich nazywał się hrabia Montalto drugi zaś margrabia Serra Montalto kazał zawołać mego ojca i przyrzekł mu pięćset cekinów za zamordowanie margrabiego. Mój ojciec zobowiązał się, prosił tylko o zwłokę, wiedział bowiem że Serra pilnie się strzegł.

We dwa dni potem margrabia Serra kazał sprowadzić mego ojca do ukrytego miejsca i

rzekł mu: « Ta kiessa, z pięciuset cekinami jest dla ciebie kochany Zoto jeżeli dasz mi słowo honoru że zamordujesz hrabiego Montalto. »

Mój ojciec wziął kiesę i rzekł. « Mości margrabio, daję panu słowo honoru że zamorduję hrabiego Montalto, ale muszę wyznać że wprzód już obiecałem mu zabić pana. »

« Spodziewam się że tego nie uczynisz, — rzekł Margrabia śmiejąc się.

« Przebacz mi pan, — przerwał mój ojciec — zobowiązałem się i umowy dotrzymam. »

Margrabia odskoczył na kilka kroków w tył i porwał się do szpady. W tej chwili mój ojciec dobył pistoletów z za pasa i roztrząskał głowę margrabiemu; następnie udał się do Montalto i oświadczył mu że jego nieprzyjaciel już nie żyje. Hrabia uściskał go i wyliczył pięćset cekinów. Wtedy mój ojciec nieco zmieszany wyznał mu, że margrabia przed śmiercią dał mu za zamordowanie go pięćset cekinów. Montalto wynurzył swoją radość że zdołał uprzędzić nieprzyjaciela. « To się na nic nie przyda, panie hrabio, — przerwał mój ojciec — gdyż przyrzekłem mu śmierć pańską pod słowem honoru. » To mówiąc pchnął go sztyltem. Hrabia padając

wydał krzyk straszliwy i zwołał swoich służących. Mój ojciec sztyltem usłał sobie drogę i uciekł w góry gdzie znalazł bandę Monaldeggo. Wszyscy dzielni towarzysze składający ją, nie mogli dość wyrazić uwielbienia dla tak religijnego pojęcia honoru. Zaręczam wam, że wypadek ten dotychczas jest w ustach wszystkich mieszkańców i długo jeszcze będą o nim mówić w całym Benewencie ... —

Gdy Zoto kończył opowiadanie tej przygody swego ojca, jeden z jego braci przyszedł mu powiedzieć że oczekiwano na jego rozkazy względem przygotowania okrętu. Opuścił nas więc prosząc o pozwolenie odłożenia na jutro dalszego ciągu historyi. Wszelako, to com dotąd usłyszał mocno mnie zastanawiało. Dziwiło mnie że ciągle wychwalał honor, przywiązanie do słowa i nieposzlakowaną uczciwość ludzi, którzy powinni byli za łaskę uważać gdyby ich tylko powieszono. Nadużycie tych wyrażen któremi szastał z takim zaufaniem, pomieszało wszystkie moje myśli. Emina, spostrzegłszy moje zamyślenie, zapytała o przyczynę. Odpowiedziałem że historia ojca Zota przypominała mi to co przed dwoma dniami słyszałem od pewnego pustelnika, który utrzymywał:

ze cnoty towarzyskie mają daleko pewniejsze zasady od bezpośredniego uczucia honoru. « Drogą Alfonsie, — rzekła Emina — szanuj tego pustelnika i wierz temu wszystkiemu co ci powiedział. Nie raz jeszcze spotkasz go w twojem życiu. » Następnie obie siostry powstały i oddaliły się wraz z murzynkami do swoich pokojów, to jest do strony podziemia dla nich przeznaczonej. Powróciły na wieczere, po której wszyscy udali się na spoczynek.

Gdy się już uciszyło w jaskini, ujrzałem wchodzącą Eminę z lampą alabastrową w rękę, jak druga Psyche, za nią zaś Zibeldę piękną jak aniołek. Usiadły obok mnie i Emina rzekła: « Kochany Alfonsie, wielki Szeik przebaczy nam jeżeli więcej się tobą zajmujemy niż nam tego dozwolono, ale po tem co zaszło, każda chwila spędzona z tobą jest dla nas nieocenionej wartości. »

« Piękna Emino, — odpowiedziałem, — jeżeli to ma być jeszcze jedna próba na jaką mnie wystawiacie, lękam się aby nie była dla mnie niepodobną do zwalczania. »

« Niemasz żadnej przyczyny obawy » — odparła piękna Maurytanka odgarniając mi włosy z czoła alabastrową rączką. W istocie

kuzynki moje nosiły ozdoby jakie w średnich wiekach miłość spletała nieufną dłonią. Zachwycała mnie poważna piękność Eminy i lube szczebiotanie jej siostry. Chwile nasze zapełniała rozmowa już sam nie pamiętam o czem — o zamiarach które z szybkością błyskawicy nawzajem się ściagały — ja więcej patrzyłem i słuchałem niż mówiłem — dziewczęta przymilały się i opowiadały mi ich marzenia, jakie zwykle tkwią między świeżą pamiętką a nadzieją blizkiego szczęścia.

Nareszcie sen zaczął tłoczyć powieki pięknych Maurytanek i oddaliły się do siebie. Zostawszy sam, marzyłem o nieprzyjemnem wrażeniu jakiego doświadczę, jeżeli znowu nazajutrz obudzę się pod szubienicą. Roześmiałem się z tej myśli, która jednak ciągle chodziła mi po głowie dopókim nie zasnął.

DZIEŃ SZÓSTY.

Zoto obudził mnie i rzekł że porządnie zaspałem i że obiad już był przygotowany. Ubrałem się czem prędzej i poszedłem do moich kuzynek które czekały na mnie w jadalnej komnacie. Oczy ich błyszczały szczęściem, dziewczęta zdawały się bardziej być zajęte wspomnieniami ubiegłej nocy, niż ucztą jaką im zastawiono. Po skończonym obiedzie, Zoto zasiadł obok nas i iak dalej zaczął opowiadać swoje przygody:

DALSZY CIĄG HISTORJI ZOTA.

Miałem w ówczas siódmy rok gdy mój ojciec złączył się z bandą Monaldegó i dobrze pamiętam jak moją matkę, mnie i dwóch moich braci zaprowadzono do więzienia. Wszelako było to tylko dla pozoró, ojciec mój bowiem niezapomniał zarobkiem swoim podzielić się ze sprawiedliwością, wkrótce

jasno dowiedziono że niemieliśmy z nim żadnych stosunków.

Naczelnik Zbirów, podczas naszego uwięzienia gorliwie się nami zajmował i nawet skrócił nam czas niewoli.

Moja matka wydostawszy się na wolność została z wielką czcią powitana przez wszystkie sąsiadki; w południowych bowiem Włoszech, rozbójnicy są tak bohaterami ludu, jak kontrabandyści w Hiszpanji. Część powszechnego szacunku spadła także i na nas, ja szczególnie uważany byłem jako książę lampartów całego miasta.

Śród tego, Monaldi poległ w jednej wyprawie i mój ojciec objąwszy dowództwo nad bandą, chciał świetnym jakim czynem usprawiedliwić zaufanie jakie w nim położono. Uczynił więc zasadzkę na drodze do Salerny na konwój pieniędzy wysłanych przez Wicekróla Sycylji. Wyprawa się udała, ale mój ojciec został kulą postrzelony w krzyż i nie mógł już dalej trudnić się rzemiosłem.

Chwila w której zęgnął się z towarzyszami była niewypowiedzianie rozrzewniającą. Zapewniają że kilku rozbójników na cały głos się rozplakało, czemu z trudnością bym wierzył, gdybym raz w życiu sam nie był gorzko

plakał, zamordowawszy moją kochankę jak to wam później opowiem.

Banda, bez naczelnika nie mogła długo się ostać, kilku z naszych towarzyszków powieszono w Toskanji, reszta zaś złączyła się z Testa-lungą który w ówczas, zaczynał w Sycylji nabierać pewnej wziętości. Mój ojciec przebył ciałninę i udał się do Messyny gdzie zażądał schronienia w klasztorze Augustyanów del Monte. Złożył zebrany majątek w ręce przewielebnych ojców, odprawił publiczną pokutę i zamieszkał wygodną celę, w której wiódł spokojne życie, przechadzki zaś używał w ogrodach i na dziedzińcach klasztornych. Mnichy dawali mu rosół, po resztę zaś potraw posyłał do sąsiedniej gospody, nadto braciszek zakonny opatrywał mu rany.

Domyślam się że mój ojciec musiał nam często przysyłać pieniądze, gdyż obfitość panowała w naszym domu. Moja matka uczestniczyła we wszystkich zabawach karnawału, przed nowym rokiem zaś sprawiła nam drzewko Bożego narodzenia ozdobne lalkami, pałacami cukrowemi, zabawkami i tym podobnemi drobnostkami w których mieszkańcy Neapolu nawzajem się przesadzają. Ciotka

Lunardo miała także drzewko, ale daleko mniej świetne od naszego.

Matka moja, o ile mogę ją zapamiętać, była nadzwyczaj dobrą i często pamiętam jak płakała myśląc o niebezpieczeństwach na jakie się jej małżonek narażał, niedługo jednak wystąpienie w jakim ubiorze lub klejnocie na przekór siostrze lub sąsiadkom, osuszało jej łzy. Radość z pysznego drzewka którem nas obdarzyła, była ostatnią przyjemnością jakiej doświadczyła. Niewiem jakim sposobem dostała zapalenia płuc i w kilka dni umarła.

Po jej śmierci nie bylibyśmy wiedzieli co z sobą począć, gdyby nadzorca więzienia nie był nas przyjął do siebie. Przebyliśmy u niego kilka dni, po których oddano nas w opiekę pewnemu mulnikowi. Ten przeprowadził nas przez Kalabryę i czternastego dnia przywiózł do Messyny.

Ojciec mój wiedział już o śmierci swej żony, przyjął nas z rozczeniem, kazał rozesłać maty obok swojej i przedstawił mnichom którzy przyjęli nas do liczby dzieci służących do mszy.

Służyliśmy więc do mszy, ucierali knoty świecom, zapalali lampy, resztę zaś dnia łotrowaliśmy na ulicy tak dobrze jak w Bene-

wencie. Zjadłszy zupę przysyłąną nam przez mnichów, ojciec dawał każdemu z nas po bajoku na kasztany i obwarzanki z którymi szliśmy bawić się w porcie i powracaliśmy dopiero późno w nocy. Ostatecznie, na świecie nie było szczęśliwszych od nas uliczników, gdy wtem wypadek o którym dziś jeszcze nie mogę mówić bez wściekłości, postanowił o całym losie mego życia.

Pewnej niedzieli, właśnie gdy miano zacząć nieszpory, przybiegłem przed kościół obładowany kasztanami które zakupiłem dla siebie i moich braci, i dzieliłem między nich ulubiony owoc. Wtem zajechał przed kościół przepyszny powóz zaprzężony sześcią końmi i poprzedzony dwoma łózakami tej samej maści, wedle zwyczaju przyjętego tylko w Sycylii. Otworzono drzwiczki i naprzód wysiadł jakiś pan z panią, za nimi ksiądz, nareszcie mały chłopczyk mego wieku, prześlicznej twarzy, ubrany w bogatą węgierkę, strój jaki powszechnie w ówczas pańskie dzieci nosiły.

Węgierka z szafirowego aksamitu, haftowana złotem i oszyta sobolami, spadała mu niżej kolan i pokrywała wierzch jego złotych safianowych bucików. Na głowie miał koł-

paczek, także z szafirowego aksamitu, oszyty sobolami i ozdobiony kitą z pereł która spadała mu na ramię.

U pasa, ze złotych sznurków i żołędzi, wisiał mu mały pałasz wysadzany drogiemi kamieniami. Nareszcie w rękę trzymał książkę do nabożeństwa oprawną w złoto.

Widok tak pięknej sukni na chłopczyku mego wieku tak dalece mnie zachwycił że sam niewiedząc co czynię, zbliżyłem się do niego i ofiarowałem mu dwa kasztany które trzymałem w rękę; ale niegodziwy hultaj, zamiast podziękowania za grzeczność, z całej siły uderzył mnie książką do nabożeństwa w nos. Raz ten wysadził mi na wierzch jedno oko, kłamra zaś rozdarła mi nozdrza i w jednej chwili krwią się zalałem.

Zdaje mi się że słyszałem jak mały panicz zaraz zaczął przeraźliwie krzyczeć, ale nie pamiętam tego dobrze gdyż upadłem bez przytomności. Wróciwszy do zmysłów, ujrzałem się obok studni ogrodowej, otoczony moim ojcem i braćmi którzy obmywali mi twarz i starali się zatrzymać upływ krwi. Gdy tak jeszcze leżałem zakrwawiony, spostrzeżliśmy wracającego małego panicza z tym panem, który pierwszy wyszedł z księdzem, i

dwoma lokajami z których jeden niósł pęk różg. Podeszły jegomość oświadczył w krótkich wyrazach, że księżna de Rocca-Fiorita kazała aby do krwi mnie oćwiczono za to że považylem się ją przestraszyć, również jak jej małego Principina. Natychmiast lokaje wzięli się do wykonania wyroku; mój ojciec lękając się aby klasztor nie wymówił mu schronienia z początku nie śmiał się odzywać, ale midząc że bez litości rozdzierano mi ciało, nie mógł już dłużej wytrzymać i zwracając się do jegomości, rzekł z wyrazem głębokiego oburzenia: «każ pan zakończyć te męczarnie albo pamiętaj że już nie dziesięciu takich zamordowałem którzy więcej byli wari od ciebie.» Niemilosierny pan, uznał zapewne że słowa te nie były bez pewnego prawdopodobieństwa i kazał zaprzestać, ale podczas gdy leżałem jeszcze na ziemi, Principino zbliżył się i uderzył mnie nogą w twarz mówiąc: *Managia. la tua faccia de banditu.* Ostatnia ta zniewaga dopełniła miary mojej wściekłości. Mogę powiedzieć że od tej chwili przestałem być dzieckiem, czyli raczej nie kosztowałem żadnej radości tego wieku i długo potem nie mogłem z zimną krwią patrzeć na bogato ubranego człowieka.

Bez wątpienia zemsta musi być pierwotnym grzechem naszego kraju, chociaż bowiem miałem wtedy dopiero ośm lat przecież dzień i noc myślałem tylko o ukaraniu Principina. Nieraz zrywałem się ze snu marząc że trzymałem go za włosy i okładałem rękami, na jawie zaś przemyślałem jakimby sposobem możnaby zemścić się z daleka, gdyż przewidywałem że niedozwolą mi zbliżyć się do niego. Raz zadosyć uczyniwszy mojej namiętności, chciałem natychmiast uciec, narzeczcie postanowiłem ugodzić go kamieniem w twarz, byłem bowiem dość zręcznym; tymczasem zaś aby więcej wprawić rękę, przez całe dnie rzucałem do celu.

Pewnego dnia, ojciec zapytał mnie, o przyczyne dla której z taką namiętnością oddawałem się tej nowej rozrywce. Odpowiedziałem, że zamierzyłem naznaczyć twarz Principina, następnie uciec i zostać rozbójnikiem. Mój ojciec udał że mi nie wierzy, jednak poznałem po jego uśmiechu że potwierdzał mój zamiar.

Wreszcie nadeszła niedziela którą oznaczyłem na dzień mojej zemsty. Gdy karetą zajechała i ujrzalem wychodzących, zmieszałem się, ale wnet nabrałem odwagi. Mój mały nieprzyjaciel spostrzegł mnie w tłumie i po-

kazał mi język. Trzymałem kamień w ręce, rzuciłem go i Principino padł na wznak.

Natychmiast zacząłem uciekać i zatrzymałem się dopiero na drugim końcu miasta. Tam spotkałem małego znajomego mi kominarczyka który zapytał mnie dokąd szedłem?.. Opowiedziałem mu całą przygodę i ten zaprowadził mnie do swego majstra. Właśnie brakowało mu chłopców, niewiedział gdzie ich szukać do tak przykrego rzemiosła, chętnie mnie więc przyjął. Zaręczył że nikt mnie nie pozna skoro sadzami twarz uczernię i że drapanie się po dachach i kominach było nauką często nader użyteczną. Później, nieraz byłem winien życie nabytej w ówczas zręczności.

Z początku dym i woń sadzy sprawiały mi nieprzyjemne wrażenie, ale na szczęście byłem w wieku w którym można przyzwyczaić się do wszystkiego. Już od sześciu miesięcy wykonywałem nowe rzemiosło, gdy mi się wydarzyła następna przygoda.

Byłem na dachu i przysłuchiwałem się którym dymnikiem odezwie się mój majster, gdy zdało mi się że usłyszałem głos w sąsiednim kominie. Spuściłem się czem prędzej, ale pod dachem znalazłem dymnik rozdziela-

jący się na dwie przeciwne strony. Powiniennem był jeszcze raz zawołać ale nieuczynilem tego i lekkomyślnie zacząłem złożyć pierwszyn lepszym otworem. Ześliznąłem się, stanąłem w bogatej komnacie i najpierwszym przedmiotem jaki spostrzegłem był mój Principino w koszuli grający w piłkę.

Chociaż mały głupiec często zapewne widział już w swoim życiu kominiarzy, tym razem jednak wziął mnie za diabła. Ukląkł, złożył ręce i zaczął mnie prosić abym go z sobą nie porywał, przyrzekając że będzie grzecznym. Byłbym może dał się zmiękczyć temi oświadczeniami, ale trzymałem w ręku moją kominiarską miotłę, pokusa użycia jej zbyt była silną, nadto aczkolwiek zemściłem się już za uderzenie książką od nabożeństwa i w pewnej części za różgi, ale przyszła mi na pamięć chwila gdy Principino kopnął mnie nogą w twarz mówiąc: *Managia la tua faccia de banditu*. Wreszcie gdy idzie o zemstę, każdy Neapolitańczyk daleko woli oddać jej więcej jak mniej.

Wyrwałem więc garść różg z miotły, rozdarłem koszulę Principina i wtedy zacząłem porządnie go chłostać, dziwna jednak rzecz że malec ze strachu ani pisnął.

Gdy myślałem że już ma dość, otarłem sobie twarz i rzekłem: *Ciucio maledetto io no zuno lu diavolu, io zuno lu picciolu banditu delli Augustini*. Natenczas Principino odzywał głos i zaczął wrzeszczeć o pomoc, rozumie się że nieczekałem aż kto nadejdzie i drażniałem tą samą drogą którą przyszedł.

Znalazłem się na dachu, usłyszałem raz jeszcze głos majstra który mnie wołał, ale nie sądziłem za rzecz potrzebną dania mu odpowiedzi. Puściłem się z jednego dachu na drugi, dostałem się na dach jakiejś stajni przed którą stał wóz z sianem, zeskoczyłem z dachu na wóz, z wozu na ziemię i co tchu pobiegłem do klasztoru Augustyanów. Tam opowiedziałem wszystko memu ojcu, który słuchał mnie z wielkiem zajęciem, po czem rzekł: «Zoto, Zoto! *Gia regio che tu sarai banditu*, — następnie zwracając się do kogoś nieznajomego który stał obok niego: — *Padron Lettereo prendete lo chiutosto vui*.

Lettereo jest to imię chrestne często używane w Messynie. Pochodzi ono od pewnego listu który Najświętsza Panna miała pisać do mieszkańców tego miasta r. 1452 narodzenia jej syna. Messyńczycy taką cześć oddają temu listowi, jaką Neapolitańczynowie krwi

świętego Januarego. Objaśniam wam ten szczegół, w półtora roku bowiem potem, zanosiłem modlitwę do Madony della lettera, która sądziłem że będzie ostatnią w mem życiu.

Patron Lettereo był kapitanem uzbrojonego jachtu, przeznaczonego niby na połów koralu, w istocie zaś szanowny marynarz zajmował się przemycaaniem a nawet rozbojem gdy znalazł do tego przyjazne okoliczności. Wprawdzie takowe nie często mu się wydarzały, gdyż nie mając harmat musiał poprzestawać na łupieniu statków osiadłych na mieliznie.

Dobrze wiadano o tem w Messynie; ale Lettereo przemycał dla najbogatszych kupców z miasta, celnicy także na tem zyskiwali, z drugiej strony nie tajem było że patron chętnie bawił się sztyletem i ta ostatnia uwaga odstręczała tych, którzy byliby pragnęli mieszać się w jego sprawy.

Wreszcie Lettereo miał postać uderzającą, sam wzrok i rozrosłość dostatecznie odznaczały go wśród tłumu, cóż dopiero gdy reszta powierzchowności tak dokładnie odpowiadała jego powołaniu, że ludzie nieco lękliwi nie mogli spojrzeć na niego bez uczucia obawy. Twarz jego mocno ogorzała oczernił jeszcze

wystrzał prochu armatniego; prócz tego patron, tak już nakrapianą skórę ozdobił jeszcze różnemi dziwacznyemi rysunkami.

Majtkowie z morza śródziemnego mają zwyczaj, wykalać sobie na ramionach i piersiach różne cyfry, krzyże, zarysy okrętów i inne tym podobne ozdoby. Lettereo prześcignął wszystkich w tym zwyczaju. Na jednym policzku wykłuł sobie Madonę, na drugim zaś krucyfix, wszelako za ledwie można było widzieć wierzech tych obrazków, resztę bowiem zakrywała gęsta broda, nietknięta nigdy brzytwą i którą tylko nożyczki utrzymywały w granicach zwykłej wybujałości. Dodajcie do tego, w uszach ogromne złote kółczyki, czerwoną czapkę, pas takieżże barwy, kaftan bez rękawów, ręce i nogi do kolan gołe i pełne kieszenie złota. Takim był Patron.

Utrzymywano że w młodości kochały się w nim różne wielkie panie, wtedy jednak był tylko ulubieńcem kobiet swego stanu i postrachem ich mężów.

Wreszcie aby dokończyć wizerunek Lettera, powiem wam że przed laty żył w ścisłej przyjaźni z pewnym znakomitym człowiekiem, który później szeroko się wslawił pod nazwi-

skiem kapitana Pepo. Służyli razem u korsarzy maltańskich, później Pepo wszedł do służby królewskiej. Lettereo zaś, któremu konor był mniej drogi jak pieniądze, postanowił zbożać się wszelkimi środkami i zarazem stał się najzaciętszym nieprzyjacielem dawnego towarzysza.

Mój ojciec za całe zatrudnienie w swoim klasztorze bawiący się tylko owiazywaniem swoich ran z których nigdy nie spodziewał się wyleczyć, chętnie wdawał się w rozmowę z rycerzami sobie podobnymi; w tym więc celu zaprzyjaźnił się z patronem i miał nadzieję że nie może nic lepszego uczynić jak powierzyć mu własnego syna. Tym razem wcale się nie zawiódł. Lettereo rozczulony temi oznakami zaufania, przyrzekł memu ojcu że nowicyat mój będzie mniej przykrym niż innych chłopców okrętowych i zaręczył, że kto zna rzemiosło kominiarskie we dwa dni z łatwością nauczy się drapać na maszty.

Zmiana ta niesłychanie mnie uszczęśliwiła, gdyż nowy mój stan zdawał mi się daleko szlachetniejszym niż wyskrobywanie kominów. Uściskałem ojca i braci i wesóło udałem się z patronem na jego okręt. Przybywszy na pokład, Lettereo zebrał swoich dwudziestu

majtków których postacie wybornie odpowiadały jego powierzchowności, przedstawił mnie tym panom i odezwał się temi słowy: *Anime managie quista criadura e lu filiu de Zotu, se uno de vui a outri, li mette la mano sopra, io li mangio l'anima.*

To zalecenie sprawiło pożądany skutek, chciano nawet abym jadł razem z wszystkimi; ale ja widząc że dwóch chłopców okrętowych posługiwało majtkom i zjadało resztę, wolałem do nich się przyłączyć. Czyn ten zjednał mi powszechną przychylność. Gdy jednak następnie ujrano jak szybko drapałem się po masztach, zewsząd dały się słyszeć okrzyki podziwu.

Rozpuściliśmy żagle i trzeciego dnia przybyliśmy do cieśniny świętego Bonifacego, która oddziela Sycylię od Korsyki. Znaleźliśmy tam przeszło sześćdziesiąt łodzi zajętych połowem koralu. Zaczęliśmy także łowić lub raczej udawać że łowimy koralu. Co się tyczy mnie, wiele przez ten czas skorzystałem, gdyż w przeciągu czterech dni pływałem i nurkowałem jak najbieglejszy z moich towarzyszy.

Po ośmiu dniach, Gregalada, nazwisko jakie na morzu śródziemnym dają wiatrowi północno-wschodniemu, rozpędziła naszą małą

flotę. My zarzuciliśmy kotwicę w opuszczonej zatoce świętego Piotra na wybrzeżach Sardynji. Zastaliśmy tam bryg wenecki który zdawał się mocno skolatany burzą. Natychmiast nasz patron zaczął coś przemyśliwać o tym okręcie i tuż obok niego zarzucił kotwicę. Następnie połowę swoich majtków umieścił na dnie statku, aby osada wydała się mniej liczną. Ostatnia ta ostrożność była całkiem nieużyteczną, gdyż jachty zwykle mają więcej ludzi niż brygi.

Lettereo uważając ciągle statek wenecki dostrzegł że osada była złożoną z kapitana, dozorca, sześciu majtków i jednego chłopca okrętowego. Nadto ujrzał że wielki żagiel był całkiem podarty i że spuszczano go do naprawy, statki bowiem kupieckie zwykle nie mają żagli do odmiany. Uczyniwszy te spostrzeżenia, włożył do szalupy ośm strzelb i tyleż szabel, przykrył wszystko wysmolowanem płótnem i postanowił czekać przyjaznej chwili.

Gdy czas się wypogodził, majtkowie weszli na górną kładkę wielkiego masztu dla przy-mocowania żagla, ale tak sobie niezręcznie w tem poczynali, że dozorca a następnie kapitan weszli za nimi. Natenczas Lettereo

kazał spuścić szalupę na morze, wszedł w nią cichaczem z siedmioma majtkami i z tyłu zaczepił się o bryg. Widząc to kapitan stojący na kładce zawołał: *Alarga ladron! a larga!* Wszelako Lettereo wziął go na cel, przyrzekając zabić pierwszego kto okaże chęć zejścia na pokład. Kapitan, jak się zdaje człowiek odważny, nie zważając na groźbę rzucił się między sznury. Lettereo zabił go w lot; kapitan wpadł w morze i już go więcej nie ujrano. Majtkowie zdali się na łaskę. Lettereo zostawił czterech ludzi aby ich trzymali na celu, z trzema zaś zszedł w środek okrętu. W kajucie kapitana znalazł baryłkę taką jakiej używają do oliwy, ale ponieważ była nieco ciężką i starannie obręczami obita, osądził więc że może zawiera w sobie jakie ciekawsze przedmioty. Rozbił ją i z milem zdziwieniem ujrzał zamiast oliwy kilka worków ze złotem. Poprzestał na tem i zatrąbił do odwrotu. Oddział wrócił na pokład, rozwinięliśmy żagle i mijając statek wenecki, krzyknęliśmy mu na wzgardę: *Viva St. Marco!*

W pięć dni potem przybyliśmy do Liwurno. Natychmiast patron z dwoma majtkami udał się do konsula neapolitańskiego i złożył oświadczenie: jako przyszło do kłótni między

jego ludźmi a osadą brygu weneckiego, i jak kapitan tego ostatniego, przypadkiem popełniony przez jednego z majtków wpadł w morze. Pewna część baryłki oliwy, nadala temu oświadczeniu cechę niezaprzeczonej prawdy.

Lettereo który miał nieprzewycięzoną skłonność do rozbojów morskich, byłby bezwątpienia dalej prowadził swoje rzemiosło, gdyby nie przedstawiono mu w Liwurno nowych zamiarów którym dał pierwszeństwo. Niejaki żyd nazwiskiem Natan Lewi, uważając że papież i król neapolitański ciągnęli niezmiernie zyski z bicia miedzianej monety, chciał także należeć do tych korzyści. W tym celu kazał sfalszować znaczną ilość takowych pieniędzy w pewnym mieście angielskiem nazwanem Birmingham. Gdy zamówiony towar był już gotowym, żyd osadził swego faktora w Flariola, wiosce rybackiej położonej na granicy obu państw, Lettereo zaś zobowiązał się do przewożenia towaru.

Handel ten przynosił nam wielkie korzyści i przez cały rok statek nasz, naładowany monetą rzymską i neapolitańską, ciągle odbywał tę samą drogę. Być może że byłibyśmy dłużej pielęgnowali tę gałąź przemysłu, ale Let-

tereo, w którym rozwinęła się zdolność do handlowych przedsięwzięć, namówił żyda aby tego samego sposobu użyć do monety złotej i srebrnej. Żyd usłuchał jego rady i w samym mieście Liwurno założył małą fabrykę cekinów i skudów. Pewnego dnia gdy Lettereo był w Liwurnie i tylko co miał wyruszyć na morze, doniesiono mu że kapitan Pepo otrzymał od króla neapolitańskiego rozkaz pochwycenia go, że jednak dopiero przy końcu miesiąca będzie mógł puścić się na morze.

To podstępne doniesienie wymyślił Pepo który już od czterech dni krążył koło brzegów. Lettereo dał się zwieść, wiatr jeszcze dość sprzyjał, sądził więc że może przedsięwziąć podróż i rozwinął żagle. Nazajutrz o świcie ujrzeliśmy się pośród eskadry Pepa złożonej z dwóch galiot i tyluż szalup. Zewsząd byliśmy otoczeni, bez żadnego sposobu ucieczki. Patronowi śmierć wyglądała z oczu, rozpiął wszystkie żagle i kazał sterować prosto na główną galiotę. Pepo stojąc na moście wydawał rozkazy do bitwy. Lettereo porwał strzelbę, wziął go na cel i strzaskał mu ramię. Wszystko to stało się w kilku sekundach.

Wkrótce potem cztery statki zwróciły się na nas i usłyszeliśmy zewsząd: *Mayna La-*

dro! Mayna can Senzafede! Lettereo pochylił statek, tak że prawy jego brzeg ślizgał się po powierzchni morza; później zwracając się do osady zawołał: *Anime managie, io in galera non civado. Pregate per me la santissima Madonna della lettera.* Na te słowa upadliśmy wszyscy na kolana. Lettereo włożył w kieszenie dwie kule armatnie; myśleliśmy że chce rzucić się w morze; ale inny był zamiar złośliwego rozbójnika. Na drugiej stronie okrętu stała wielka beczka nadełniona miedzią. Lettereo schwytał siekierę i przeciął przytrzymujące ją sznury. Natychmiast beczka potoczyła się na brzeg przeciwny, ponieważ zaś okręt był już bardzo pochyłony, niemógł przeto znieść tego wstrząśnienia i zatonął. Natychmiast my wszyscy którzy byliśmy na kolanach upadliśmy na żagle, które gdy okręt szedł do dna, przez swoją sprężystość odrzuciły nas na kilkanaście lokci.

Pepo dobył nas wszystkich z wody wyjąwszy kapitana, jednego majtka i chłopca okrętowego. Skoro którego wyciągano z wody, wnet go wiązano i wrzucano na spód okrętu. We cztery dni potem wylądowaliśmy w Messynie. Pepo uprzedził sprawiedliwość że miał jej odkać kilku zuchów zasługujących na jej

uwagę. Wylądowanie nasze nie odbyło się bez pewnej okazałości. Było to właśnie w godzinach Corso, podczas których cały wielki świat używa przechadzki na wybrzeżu. Postępowaliśmy poważnym krokiem z przodu i z tyłu strzeżeni przez zbirów.

Principino znalazł się w liczbie widzów, jak tylko mnie ujrzał natychmiast poznał i zawołał: *Ecco lu picciolu banditu delli Augustini.* W tej samej chwili skoczył mi do oczu, porwał za włosy i zadrapał w twarz. Miałem ręce związane z trudnością więc mogłem się bronić.

Przypomniawszy sobie jednak fortel używany przez majtków angielskich w Liwurnie, pochyliłem głowę i z całej siły uderzyłem Principina w brzuch. Niegodziwy malec padł na wznak. Wkrótce jednak porwał się z wściekłością i dobył z kieszeni małego noża którym chciał mnie zranić. Aby uniknąć tego ciosu, podstawiłem mu nogę, upadł mocno na ziemię i nawet padając sam zranił się własnym nożem. Księżna przybyła na tę sprawę i kazała lokajom aby powtórzyli ze mną scenę z klasztoru, ale zbiry sprzeciwili się temu i zaprowadzili nas do więzienia.

Krótko trwał proces naszej osady, skazano

wszystkich na chłostę i następnie dożywotnie galery. Co zaś do chłopca okrętowego którego ocalono i do mnie, wypuszczono nas na wolność jako małoletnich. Jak tylko wyostałem się z więzienia, pobiegłem do klasztoru Augustyanów. Nie znalazłem już w nim mego ojca; braciszek odźwierny powiedział mi że umarł i że bracia moi byli chłopcami okrętowymi na jakimś statku hiszpańskim. Prosiłem o pozwolenie rozmowy z ojcem przeorem; wprowadzono mnie. Opowiedziałem mu wszystkie przygody nie przemijając ani przedstawienia nogi ani uderzenia głową w brzuch Principina. Jego przewielebność wysłuchała mnie z wielką dobrocią, po czem rzekła: « Moje dziecko, twój ojciec umierając, zostawił klasztorowi znaczną summę pieniędzy. Był to źle nabyty majątek do którego niemielicie żadnego prawa. Jest teraz w rękach Boga i powinien być użytym na utrzymanie sług jego. Jednakowoż ośmieliliśmy się wziąć z niego kilka skudów dla kapitana hiszpańskiego który postanowił zabezpieczyć los twoim braciom. Co się tyczy ciebie, nie możemy dać ci schronienia w naszym klasztorze, przez wzgląd na księżnę della Rocca Fiorita, znakomitą naszą dobrodziejkę. Ty jednak moje dziecko, pój-

dziesz do wioski którą mamy u stóp Etny i tam przyjemnie spędzisz twoje dziecińne lata. » Po tych słowach, przeor zawołał braciszka i wydał mu stosowne rozkazy względem dalszego mego losu.

Nazajutrz ruszyłem z braciszkiem w drogę. Przybyliśmy do wioski; umieszczono mnie i odtąd całym moim obowiązkiem było chodzić z posyłkami do miasta. W tych małych podróżkach starałem się o ile możności unikać spotkania z Principinem.

Jednakże pewnego razu zoczył mnie na ulicy kupującego kasztany, poznał i kazał swoim lokajom zbić niemilosiernie. W jakiś czas potem wśliznąłem się znowu przebrany do jego pokoju i bezwątpienia mógłbym był łatwo go zamordować, dotąd nawet żałuję że tego nie uczynił; ale nie byłem jeszcze w ówczas dość oswojony z postępowaniem podobnego rodzaju, poprzestałem więc na porządnem go oćwiczeniu. Nieszczęsna moja gwiazda, jak sami widzicie, sprawiła że w pierwszych latach mojej młodości nie przeszło sześć miesięcy, nawet cztery, żebym nie miał jakiego spotkania z tym przeklętym Principinem który zwykle miał siłę za sobą. Takim sposobem żyjąc doszedłem lat piętnastu

i chociaż co do wieku i rozumu byłem jeszcze dzieckiem, wszelako co do siły i odwagi byłem już człowiekiem skończonym, co bynajmniej nie powinno was dziwić jeżeli zważycie, że powietrze morza i gór, dzielnie przyczyniło się rozwinięcia budowy mego ciała.

Miałem więc piętnaście lat gdym po raz pierwszy ujrzał znakomitego sposobem myślenia i odwagą, Testa-Lunge, najuczciwszego i najszlachetniejszego rozbójnika jaki kiedykolwiek pustoszył Sycylią. Jutro, jeżeli raczycie pozwolić, dam wam poznać tego człowieka, którego pamięć wiecznie pozostanie wyrytą w mem sercu. W tej chwili muszę was opuścić. Zarząd jaskini wymaga z mojej strony czujnego starania, którego nie powinienem zaniedbywać. —

Zoto odszedł i każdy z nas, stósownie do swego sposobu widzenia, zamyślił się nad tem co słyszał. Wyznam, że nie mogłem odmówić pewnego rodzaju szacunku dla ludzi tak odważnych, jakimi byli ci których Zoto w opowiadaniu swoim odmalowywał. Emina utrzymywała że odwaga wtedy tylko zasługuje na nasz szacunek, kiedy jest użytą na poparcie zasad enoty. Zibelda dodała, że można było

pokochać małego szesnastoletniego rozbójnika. Po wieczery, każdy odszedł do siebie, wkrótce jednak obie siostry znowu przyszły do mnie na pogadankę. Usiadły i Emina rzekła: « Kochany Alfonsie, czy nie mógłbyś uczynić dla nas jednego poświęcenia? idzie tu więcej o ciebie niż o nas. »

« Wszystkie te przemowy są niepotrzebne, piękna kuzynko, — odpowiedziałem — powiedz mi po prostu czego żądasz odemnie? »

« Drogą Alfonsie, — przerwała Emina, — ten klejnot który nosisz na szyi i nazywasz cząstką prawdziwego krzyża, razi nas i wzbudza wstręt mimowolny. »

« O! co się tyczy tego klejnotu, — odparłem szybko — przestań mi o nim mówić. Przyrzekłem mojej matce że go nigdy nie opuszczę, i sądzę że nie ty powinnaś wątpić jak umiem dotrzymywać moich przyrzeczeń. »

Na te słowa moje kuzynki skrzywiły się nieco i zamilkły, niebawem jednak ulagodziły się i noc ubiegła nam równie szybko jak poprzedzająca.

DZIEŃ SIÓDMY.

Nazajutrz z rana obudziłem się wcześniej i poszedłem odwiedzić moje kuzynki. Emina czytała koran, Zibelda zaś przymierzała perły i szale. Przerwałem te ważne zatrudnienia słodkimi pieścotami w których równie miłość jak przyjaźń się odzywały. Po obiedzie Zoto w te słowa zaczął rozpowiadać dalsze przygody:

DALSZY CIĄG HISTORII ZOTA.

Przyrzekłem mówić o Testa-Lundze i dotrzymam wam słowa. Przyjaciel mój był spokojnym mieszkańcem Val-Castera, małego miasteczka położonego u stóp Etny. Miał żonę zachwycającą pięknosci. Młody książę Val-Castera, zwiedzając pewnego razu swoje majątki, ujrzał tę kobietę która przysła powitać go wraz z innemi żonami znaczniejszych mie-

szczan. Zarozumiały młodzieniec zamiast wdzięcznego przyjęcia holdu jaki mu składali jego poddani ustami piękności, zajął się tylko wdziękami pani Testa-Lunga. Bez żadnych ogródek, wyjawil jej wrażenie jakie sprawiała na jego zmysłach, zuchwałą ręką objął jej kibić i pocałował w twarz. W tej samej chwili mąż, który stał za żoną, dobył noża z kieszeni i utopił go w sercu młodego księcia. Zdaje mi się że na jego miejscu każdy uczciwy człowiek byłby sobie tak samo postąpił

Testa-Lunga, dokonawszy tego uczynku, schronił się do kościoła i zostawał tam aż do nocy. Sądząc jednakże że wypadło mu pewniejsze środki przedsięwziąć, postanowił złączyć się z kilkoma rozbójnikami którzy od niejakiemu czasu ukrywali się na wierzchołkach Etny. Poszedł więc do nich i ci ogłosili go dowódcą.

Etna na ów czas wybuchała niesłychaną ilością lawy; pośród ognistych jej potoków, Testa-Lunga umocnił swoją bandę w kryjówkach które jemu samemu były tylko znane. Gdy się już tak ze wszech stron dostatecznie zabezpieczył, dzielny ten wódz udał się do vice-króla żądając ulaskawienia siebie i towarzyszków. Rząd odmówił, jak sądzą z obawy

nadwężenia powagi władzy. Natenczas Testa-Lunga wszedł w układy z głównymi dzierżawcami okolicznych majątków. «Kradnijmy do wspólki, rzekł do nich, gdy przybędę do was, dacie mi co sami zechcecie, nawzajem ja będę was bronił przeciw waszym panom.» Wprawdzie była to zawsze kradzież, ale Testa-Lunga sumiennie rozdzielał wszystko między towarzyszków, zachowując dla siebie tyle ile najmniej biorący dostawał. Skoro zaś przeciągał przez jaką wioskę, kazał za wszystko płacić podwójnie, tak że w krótkim czasie stał się bożyszczem ludu obójga Sycylji.

Mówilem wam już że niektórzy rozbójnicy z bandy mojego ojca, złączyli się z Testa-Lungą, który przez kilka lat przebywał na południu Etny, czyniąc nieustannie wycieczki na Val di Noto i Val di Mazara. Ale w czasie o którym wam mówię, to jest gdy skończyłem piętnasty rok życia, banda wróciła do Val-Demoni i pewnego dnia ujrzeliśmy ją przybywającą do wioski Augustynów.

Cokolwiek moglibyście wyobrazić sobie świetnego i okazałego, wszystko to da wam słabe zaledwie pojęcie o towarzyszach Testa-Lungi. Ubiory z gwardyi muszkietarów, konie pokryte jedwabnymi siatkami, pasy naje-

żone pistoletami i sztyletami, długie szpady i strzelby tego samego rozmiaru, oto były przedmioty składające uzbrojenie wojenne bandy.

Przez trzy dni rozbójnicy zjadali nasze kury i wypijali wino, czwartego doniesiono im że oddział dragonów z Syrakuzy, zbliżał się w zamiarze ich otoczenia. Na tę wieść zaczęli śmiać się z całego serca; zaczęli się w wąwozach, uderzyli na oddział i rozbili go do szczętu. Wprawdzie siła nieprzyjaciela dzieśnięć razy przewyższała ich zastęp, ale z drugiej strony, każdy rozbójnik miał przy sobie dzieśnięć wystrzałów z których żaden nie chybiał.

Po zwycięstwie, banda wróciła do wioski, ja zaś zapatrując się z dala na całą bitwę, tak byłem zachwycony że padłem do nóg dowódcy i zaklinałem go aby raczył mnie przyjąć na towarzysza. Testa-Lunga zapytał co byłem za jeden? «Syn rozbójnika Zoto,» odpowiedziałem. Na to szanowne nazwisko, wszyscy ci którzy służyli pod moim ojcem wydali okrzyk radości. Następnie, jeden z nich porwał mnie w swoje objęcia, postawił na stole i rzekł: «Towarzysze, w ostatniej walce zabito nam porucznika Testa-Lungi; sprzecaliśmy się kto go ma zastąpić, niech

więc mały Zoto będzie naszym porucznikiem. Widzimy nieraz że powierzają dowództwa pułków synom książąt lub hrabiów, dla czegoż niemielibyśmy tego uczynić dla syna dzielnego Zota. Ja zaręczam za niego że stanie się godnym tego zaszczytu.» Na te słowa, okryto mowcę rzesistemi oklaskami i jednomyślnie obrano mnie porucznikiem.

Stopień mój z początku zdał się dla nich być żartem i każdy rozbójnik kładł się od śmiechu nazywając mnie: *Signor tenente*, wkrótce jednak musieli zmienić dotychczasowe mniemanie. Nietylko zawsze pierwszym byłem w napadzie i ostatnim w odwrocie, ale żaden z nich nie umiał lepiej odemnie wyśledzić obrotów nieprzyjacielskich lub zapewnić bandzie spokojność. Raz wdrapywałem się na szczyty skał aby szerzej objąć wzrokiem okolice, to znowu całe dnie przepędzałem śród nieprzyjaciół skacząc z jednego drzewa na drugie. Często nawet zdarzało mi się przez całe noce nie zlaźić z najwyższych kasztanów Etny i gdy niemogłem już oprzeć się znużeniu, zasypiałem przywiązawszy się wprzód pasem do gałęzi. Wszystko to niebyło zbyt trudnem dla tego kto znał dokładnie rzemiosło komiarniarza i chłopca okrętowego.

Tak ciągle postępując, zyskałem powszechne zaufanie i powierzono mi bezpieczeństwo całej bandy: Testa-Lunga kochał mnie jak własnego syna, nadto śmiem wyznać że niebawem nabyłem sławy, która przewyższała wziętość dowódcy i wkrótce w całej Sycylii o niczem innem nie mówiono jak tylko o świetnych czynach małego Zota. Tyle sławy nie uczyniło mnie nieczułym na rozrywki właściwe memu wiekowi. Już wam powiedziałem że rozbójnicy u nas są bohaterami ludu, sami więc łatwo osądzicie czy najpiękniejsze pasterki Etny, byłyby wahały się oddać mi serce; byłem jednak przeznaczony uleść bardziej wykwintnym wdziękowi i miłość przygotowywała mi pochlebniejszą zdobycz.

Już od dwóch lat byłem poręcznikiem i miałem siedmnaście lat skończonych, gdy nowy wybuch wulkanu, zniszczył dotychczasowe nasze kryjówki i zmusił bandę szukać schronienia w stronie więcej południowej. Po czterech dniach pochodu, przybyliśmy do zamku nazwanego Rocca-Fiorita, siedliska i głównej posiadłości mego wroga Principina.

Oddawna zapomniałem już o krzywdach jakim od niego doświadczył, gdy usłyszane

nazwisko na nowo rozbudziło we mnie całą zemstę. Nie powinno was to bynajmniej zdziwiać, w naszym klimacie serca są nieublagane. Gdyby Principino był naówczas znajdował się w swoim zamku, mniemam że byłbym mieczem i ogniem przeklęte gniazdo spustoszył. Tym razem jednak poprzestałem na zrządzeniu o ile możności jak największej szkody, do czego towarzysze, którym nie tajne były moje powody, dzielnie mi dopomogli. Służba zamkowa, która z początku chciała stawiać nam opór, uległa obfitym strumieniom pańskiego wina, które wytoczyliśmy z piwnicy, i niebawem przeszła na naszą stronę. Jednym słowem zamieniliśmy zamek Rocca-Fiorita w prawdziwą wyspę obfitości.

Hulanka trwała przez pięć dni. Szóstego, szpiegi uprzedzili mnie że wyprawiono przeciw nam cały pułk z Syrakuzy i że Principino wkrótce z matką i licznym towarzystwem kobiet, ma przybyć z Messyny. Cofnąłem bandę, sam jednak chciałem koniecznie pozostać, usadowiłem się więc na szczycie rozłożystego dębu w końcu ogrodu. Dla ułatwienia ucieczki w razie potrzeby, wybiłem otwór w murze ogrodowym.

Nareszcie ujrzałem nadchodzący pułk, który

rozstasował się przed bramą zamkową i dookoła porozstawiał strażę. Tuż za nim ciągnął szereg lektyk w których siedziały damy, w ostatniej zaś sam Principino rozkładał się na stosie poduszek. Z trudnością wysiadł podtrzymywany przez dwóch koniuszych, wysłał naprzód oddział wojska i gdy zaręczono mu że żadnego z nas nie było już w zamku, dopiero wszedł z kobietami i kilku panami należącymi do jego orszaku.

Pod moim dębem wytryskało źródło świeżej wody, tuż zaś obok stał marmurowy stół otoczony ławkami. Była to najozdobniejsza część ogrodu; nie wątpiłem że całe towarzystwo tu przybędzie i postanowiłem nie zläzić aby bliżej mu się przypatrzeć. W istocie po pół godziny ujrzałem nadchodzącą młodą osobę prawie w moim wieku. Aniołowie nie mogą być piękniejszymi, spostrzegłszy ją doznałem tak nagłego i silnego wzruszenia, że byłbym może spadł z wierzecholka dębu gdybym nie był, przez zwykłą ostrożność, mocno przywiązał się pasem do jego gałęzi.

Młoda dziewczyna szła ze spuszczonei oczyma i z wyrazem głębokiego smutku na twarzy. Usiadła na ławce, wsparła się na marmurowym stole i zaczęła gorzko płakać.

Nie wiedząc sam co czynię, zsunąłem się z drzewa i stanąłem tak że mogłem ją widzieć nie będąc sam spostrzeżonym. Natenczas ujrzałem Principina zbliżającego się z kwiatami w ręku. Od trzech lat jak go straciłem z oczu, znacznie wyrósł, twarz miał piękną ale bez żadnego wyrazu.

Młoda dziewczyna spostrzegłszy go, rzuciła nań wzrok pełen wzdargy, za który mocno jej byłem wdzięcznym. Pomimo to, Principino, zadowolniony z samego siebie, przystąpił do niej wesoło i rzekł: « Kochana narzeczono, oto są kwiaty przeznaczone dla ciebie jeżeli mi przyrzekniesz niewspominać o tym niegodziwym hultaju. »

« Mości książę, — odpowiedziała moja sąsiadka — sądzę że niesłusznie kładziesz warunki twoim łaskom, wreszcie chociażbym ja nigdy nie wymówiła przed tobą nazwiska Zota, cały dom wiecznie ci o nim będzie wspominał. Wszakże sama twoja mamka zaręczyła w twojej obecności, że nigdy w życiu nie widziała piękniejszego chłopca. »

« Panno Sylwio!.. — przerwał Principino dotknięty do żywego — racz pamiętać że jesteś moją narzeczoną. » Sylwia nic nie odrzekła tylko załżała się łzami.

Wtedy Principino w największej wściekłości zawołał: « Nikczemna, ponieważ kochasz się w rozbójniku, oto masz na co zasługujesz! » To mówiąc uderzył ją w twarz.

« Zoto! Zoto!. — krzyknęła biedna dziewczyna — czemuż cię tu nie ma aby ukarać tego nędznika! » Jeszcze nie dokończyła tych słów gdy nagle wyszedłem z mojej kryjówki i rzekłem do księcia:

« Poznajesz mnie?... jestem rozbójnikiem i mógłbym cię zamordować; ale zbyt poważam pannę, która raczyła przyzwać mnie na pomoc i ofiaruję ci walkę jaka dla was panów przystoi. » Miałem na sobie dwa pugiwały i cztery pistolety; rozdzieliłem broń moją na dwoje, położyłem jedną część o dziesięć kroków od drugiej i zostawiłem mu wybór. Ale nieszczęśliwy Principino padł zemdlony na ławkę.

Sylwia natenczas, temi słowy odezwała się do mnie: « Jestem szlachetnego urodzenia ale biedną, jutro mam zaślubić księcia lub być na całe życie zamkniętą w klasztorze. Zamiast jednego lub drugiego, wolę być twoją na wieki! » To mówiąc padła w moje objęcia.

Możecie domyślić się że nie dałem się długo prosić. Jednakowoż należało zapobiedz abyś-

my ze strony księcia nie doznali przeszkody w ucieczce. Wziąłem sztylet i w braku młotka, kamieniem przybiłem mu rękę do ławki na której leżał. Krzyknął boleśnie i powtórnie omdlał. Wysunęliśmy się przez otwór w murze ogrodowym i uciekliśmy w góry.

Każdy z moich towarzyszków oddawna miał już kochankę, z radością więc powitali moją i kobiety ich przysięgły Sylwji nieograniczone posłuszeństwo.

Już upływał czwarty miesiąc mojego pobytu z Sylwią, gdy zostałem zmuszony opuścić ją aby obejrzeć zmiany jakie ostatni wybuch wulkanu poczynił w stronie północnej. Podczas podróży odkryłem w naturze nowe wdzięki, na które odtąd wcale nie uważałem. Co chwila spotykałem rozkoszne trawniki, jaskinie, gaje w miejscach, które wprzódy wydały mi się tylko dobrymi do obrony lub zasadzek. Sylwia ułagodziła moje rozbójnicze serce które jednak wkrótce miało odzyskać dawną srogość.

Wróciłem z mojej podróży na północ góry. Wyrażam się tym sposobem dla tego, że Sycylijanie wspominając o Etnie zowią ją zawsze *il monte*, czyli najpierwszą górą w świecie. Zwróciłem się naprzód ku wierzchołkowi

który nazywamy wieżą filozofa, ale nie mogłem wdrapać się na szczyt. Podczas ostatniego wybuchu, wulkan zionąc potok lawy, objął wieżę dwoma ognistemi ramionami i następnie łącząc się o milę dalej, opasał ją nieprzebytymi rozpadlinami i utworzył rodzaj wyspy całkiem niedostępnej.

Poznałem natychmiast ważność tego położenia, nadto na samej wieży, mieliśmy znaczny skład kasztanów, który pragnąłem koniecznie zachować. Dzięki przezorności moich poszukiwań, wynalazłem podziemne przejście, którem dawniej często przechodziłem i które mnie wyprowadziło prosto na samą wieżę. Natychmiast postanowiłem umieścić na tej wyspie całą naszą ludność kobiecą. Kazalem zbudować szalasy z liści i napięknieszy przeznaczyłem dla Sylwji. Następnie wróciłem na południe i sprowadziłem całą osadę która była uszczęśliwioną z tego nowego schronienia.

Dziś kiedy przenoszę się pamięcią w szczęśliwe chwile jakie spędziłem na tej wyspie, znajduję je zupełnie oderwane od okropnych wzruszeń które miotają całem mojem życiem. Ogniste potoki dzieliły nas od reszty ludzi, miłość dni uprzyjemniała. Wszystko słuchało moich rozkazów i wszystko ulegało najmniej-

szym życzeniom kochanej Sylwji. Wreszcie na domiar mego szczęścia dwaj moi bracia przybyli do mnie. Oba doznali nadzwyczajnych przygód i upewniam was że jeżeli zachcecie kiedy posłuchać ich opowiadań, bezporównania więcej was zabawią odemnie.

Mało ludzi policzy szczęśliwe dnie w życiu, ale niewiem czy jest kto coby mógł szczęście rachować na lata. Moje przynajmniej nie trwało jednego roku. Towarzysze bandy zachowywali się uczciwie względem siebie samych, żaden nie byłby się ośmielił rzucić wzrok na cudzą kochankę, tem mniej zaś na moją. Zazdrość przeto była nieznaną lub raczej najakós czas wygnaną z naszej wyspy, gdyż szalona ta namiętność zbyt łatwo zawsze znajdzie wstęp do miejsc w których miłość przebywa.

Młody rozbójnik, nazwiskiem Antonino, tak szalenie zakochał się w Sylwji że niebył nawet w stanie ukryć swojej namiętności. Sam to uważałem, ale widząc go smutnym i pogębionym, mniemałem że kochanka moja niebyła mu wzajemną i byłem spokojny. Radbym był tylko wyleczyć Antonina, kochałem go bowiem dla jego odwagi. Nawzajem znajdował się w bandzie drugi rozbójnik nazwiskiem Moro, którego dla nikiżemności sposobu my-

ślenia z całych sił nienawidziłem, i gdyby Testa-Lunga chciał był mi wierzyć, oddawna byłby go już wypędził.

Moro, potrafił wkraść się w zaufanie Antonina i przyrzekł mu dopomódz w miłości; pozyskał również ufność u Sylwji i przekonał ją że miałem kochankę w sąsiedniej wiosce. Sylwia lękała się wyznać przedemną powziętych podejrzeń, ale postępowanie jej zaczęło być coraz bardziej wymuszonym, domyślałem się więc że stygnął w niej zapal dawnej miłości. Z swojej strony Antonino, uwiadomiony o wszystkim przez Mora, podwoił zalecania przy Sylwji i przybrał postać zadowolnioną, która dała mi do zrozumienia że był szczęśliwym.

Nie byłem wcale wprawnym w odkrywanie podstępów podobnego rodzaju. Zamordowałem Sylwią i Antonina. Ostatni na chwilę przed śmiercią wyznał mi zdradę Mora. Z zakrwawionym sztyletem, pobiegłem do zdrajcy; Moro przeląkł się, padł na kolana i wyjąkał, że książę Rocca-Fiorita zapłacił mu aby mnie i Sylwię zgładził ze świata, i że jedynie w celu skutocznienia tego zamiaru przyłączył się do naszej bandy. Utopiłem mu sztylet w piersiach. Następnie wybrałem się do

Messyny, wemknąłem się przebrany do pałacu księcia i wysłałem go za jego powiernikiem i dwoma mojemu ofiarami. Taki był koniec mego szczęścia i zarazem mojej sławy. Moja odwaga zmieniła się w zupełną obojętność dla życia, a ponieważ okazywałem równą obojętność dla bezpieczeństwa moich towarzyszy, wkrótce zatem całkiem postradałem ich zaufanie. Nakoniec mogę was zapewnić, że odtąd stałem się jednym z najpospolitszych rozbójników.

Wkrótce potem Testa-Lunga umarł na zgnilą gorączkę i banda jego się rozproszyła. Moi bracia znając dobrze Hiszpanię namówili, mnie aby tam się udać. Stałem na czele dwunastu ludzi, przybyłem do zatoki Taormińskiej i ukrywałem się w niej przez trzy dni. Czwartego dnia porwaliśmy mały statek rybacki, puściliśmy się na morze i wylądowali na brzegach Andaluzji.

Chociaż w Hiszpanji nie zbywa na górach, które zapewniają bezpieczne schronienie, jednak przedewszystkiemi wybrałem pasmo Sierra-Moreny i nie miałem powodu żalić się na mój wybór. Schwytałem dwa transporty piastrow i uczyniłem później kilka nie mniej korzystnych wycieczek.

Odgłos naszych powodzeń doszedł aż do Madrytu. Wielkorządca Kadyxu, otrzymał rozkaz dostawienia nas martwych lub żywych i wyprawił przeciw nam kilka pulków. Z drugiej strony wielki Szeik Gomelezów ofiarował mi służbę u siebie i bezpieczne schronienie w tej oto jaskini. Bez namysłu przystałem na jego żądania. Wielkorządztwo Grenady, nie chcąc pokazać swojej niedoleżności, niemogąc jednak nas znaleźć, rozkazało schwytać dwóch pasterzów z doliny i powiesić ich pod nazwiskiem dwóch braci Zoto. Znałem tych dwóch ludzi i wiem że popelnili kilka morderstw. Utrzymują jednak, że gniewa ich to powieszenie na naszym miejscu i że w nocy odwiązują się z szubienicy i wyprawiają tysiączne niedorzeczności. Nie przekonałem się o tem na własne oczy, niemogę więc nic wam o tem powiedzieć. Przecież nie raz przechodząc w nocy obok szubienicy, zwłaszcza gdy księżyc świecił, dokładnie widziałem że niebyło żadnego wisielca, nad rankiem zaś znowu wracali na szubienicę.

Oto jest historyja mego życia którą pragnęliście słyszeć. Sądzę że moi bracia, których życie spokojniej upłynęło, mogli by wam bardziej zajmujące rzeczy opowiedzieć, ale nie-

będą mieli do tego czasu, gdyż okręt jest już przygotowany i odebrałem wyraźne rozkazy aby jutro puścić go na morze. —

Gdy Zoto odszedł, piękna Emina rzekła z wyrazem głębokiego smutku: « Ten człowiek ma słuszność, chwile szczęścia zbyt krótkie są w życiu człowieka. Przepędziłyśmy tu trzy dni które może już nigdy w życiu nam się nie powtórzą. » Wieczera wcale nie była wesola, pośpieszyłem więc z życzeniami dobrej nocy moim kuzynkom. Spodziewałem się że ujrzę je w moim pokoju i wtedy łatwiej zdołam rozproszyć ich tęsknotę. W istocie przyszły wcześniej jak zazwyczaj i na domiar mego szczęścia spostrzegłem że nie miały na sobie ozdób które pierwszego dnia zaraz tak mi się nie podobały. Zrozumiałem wybornie uprzejmość zachwycających dziewcząt, ale Emina nieufając mojej domyślności rzekła: « Kochany Alfonsie, poświęcenie twoje dla nas było bez granic, pragnę abyś równie sądził o naszej wdzięczności. Być może że się już więcej nie ujrzymy. Może dla waszych kobiet łatwiejszem jest zapomnienie, ale my chcemy wiecznie żyć w twojej pamięci i jeżeli kobiety madryckie przewyższają nas w wykształceniu i obejściu, za-

dua jednak nie będzie w stanie więcej cię kochać od nas, Jednakże drogi Alfonsie musisz jeszcze raz ponowić przysięgę że nam docho-
wasz tajemnicy i nie dasz wiary gdyby ci co złego o nas mówiono.» Uśmiechnąłem się lekko na ten ostatni warunek, ale zgodziłem się na wszystko i otrzymałem nagrodę w naj-
czulszych pieszczotach.

Po chwili, Emina rzekła: « Kochany Alfonsie, te relikwije które nosisz na szyi, ciągle rażą wzrok Muzułmanek, czy nie możesz ich zrzucić? » Dałem odmowną odpowiedź, ale Zibelda objęła mnie za szyję i nożyczkami które trzymała w ręku, przecięła wstążkę. Emina natychmiast porwała relikwije i rzuciła je w rozpadlinę skały. « Jutro włożysz ją na powrót, — rzekła — tymczasem zawieś na szyi tę plecionkę z naszych włosów wraz z przywiązanym do niej talizmanem, który uchroni cię może od nieszczęścia jeżeli w świecie zdoła uchronić od tego kochanków.» Chciałem poskoczyć za relikwijami, ale dziewczęta opasały mnie pierścieniem z ich śnieżnych ramion i tak ponętnie zaczęły się uśmiechać, że niebawem ogarnęły cały mój umysł i nie miałem czasu o niczem innem myśleć. Czulem jak krew biła we mnie

z nadzwyczajną gwałtownością. Mówiąc o krwi dodam, że chociaż zwykle zbrodnią jest niewinną krew przelewać, są jednak wypadki w których człowiek z łatwością może sobie dozwolić zagłuszyć głos sumienia. Całe dalsze postępowanie z mojami kuzynkami doprowadziło mi że marzenia moje w Venta-Que-
mada były tylko czczem urojeniem. Zmysły nasze ukołysały się, byliśmy już zupełnie spokojni gdy nagle zabrzmiał smutny jęk dzwonu. Zegar bił północ. Na ten odgłos, niemogłem wstrzymać się od wzruszenia i rzekłem do dziewcząt, że obawiam się aby nam nie zagrażał jaki smutny wypadek. — « I ja również lękam się, — odparła Emina — nawet niebezpieczeństwo jest blizkiem, ale posłuchaj tego co ci mówię: nie dawaj wiary żadnemu złemu jakiego ci o nas mówiono, niewierz nawet własnym oczom.»

W tej chwili drzwi otwarły się z loskotem i ujrzałem wchodzącego człowieka wspaniałej postawy, ubranego po maurytańsku. W jednym ręku trzymał alkoran, w drugim zaś miecz obnierzony; kuzynki moje rzuciły mu się do nóg, mówiąc: « Potężny Szeiku Gomelezów, przebacz nam!» Na co Szeik odpowiedział straszonym głosem: *Adonde estan*

las fahas? Snać pytał je o te właśnie ozdoby których tego dnia na nich niewidziałem. Później, zwracając się do mnie, rzekł: «Nieszczęsny Nazarejczyku! jak śmiesz razem znajdować się z niewiastami z krwi Gomelezów?.. Musisz przejść na wiarę Proroka lub umrzeć.»

W tej chwili usłyszałem straszliwe wycie i spostrzegłem opętanego Paszeko który dawał mi znaki z głębi komnaty; moje kuzynki także go spostrzegły, porwały się więc rozgniewane, schwytyły go i wyprowadziły do drugiej izby.

«Nieszczęsny Nazarejczyku, — powtórzył znowu Szeik Gomelezów — wypij duszkiem napój zawarty w tej czarze, lub zginiesz haniebną śmiercią a ciało twoje zawieszono między trupami braci Zota, stanie się pastwą sępów i igraszką duchów ciemności które będą go używać do swoich piekielnych przemian.» Zdało mi się że w podobnej okoliczności, honor nakazywał mi samobójstwo. Zawołałem więc z boleścią: «Ach mój ojcie, na mojem miejscu tak samo byś sobie postąpił.» Po tych słowach wziąłem czarę i wychyliłem do dna. Uczulem nieznośne mdłości i padłem bez zmysłów.

DZIEŃ ÓSMY.

Ponieważ mam zaszczyt wam opowiadać moje przygody, łatwo więc pojmiecie że nie umarłem od trucizny którą myślałem zem wypić. Odszedłem tylko od przytomności i niewiem jak długo zostawałem w tym stanie. Pamiętam jednak że znowu obudziłem się pod szubienicą los Hermanos, ale tym razem z wielką radością, gdyż przynajmniej byłem pewny zem jeszcze nie umarł. Nadto nie znalazłem się już między dwoma wisielcami, leżałem po lewej ich stronie po prawej zaś spostrzegłem jakiegoś człowieka którego także wziąłem za wisielca gdyż zdawał się bez życia i miał stryczek na szyi. Wkrótce jednak poznałem że spał tylko i rozbudziłem go. Nieznajomy, spojrzawszy na miejsce swego noclegu zaczął śmiać się i rzekł: «Trzeba wyznać że w nauce kabalistyki wydarzają się czasem przykre nieporozumienia. Złe duchy tyle umieją przybierać na się kształtów, że

niemożna wiedzieć z kim się ma do czynienia. Wszelako, — dodał — ządze mi się wziął ten powróż na szyi? w miejscu plecionki z włosów, którą wczoraj jeszcze miałem na sobie.» — Później spostrzegłszy mnie rzekł: — «I pan tutaj?.. pan jeszcze za młodym jesteś na kabalistę, chociaż masz także powróż na szyi.» W istocie przekonałem się że miał słusność. Przypomniałem sobie że Emina wczoraj zawiesiła mi na szyi plecionkę z włosów swoich i Zibeldy, i sam nie wiedziałem jak sobie tę przemianę tłumaczyć.

Kabalista spoglądał na mnie bystrym wzrokiem i rzekł: «Nie, ty do nas nie należysz, nazywasz się Alfons, twoja matka rodzi się z Gomelezów, jesteś kapitanem w gwardyi wallońskiej, masz wiele odwagi ale mało doświadczenia. Mniejsza o to, trzeba naprzód ztąd się wydostać a potem zobaczymy co z sobą pocniemy.»

Brama parkanu była otwartą, wyszliśmy i znowu ujrzałem przed sobą przeklętą dolinę los Hermanos. Kabalista zapytał mnie, dokąd chciałem się udać? Odpowiedziałem mu że postanowiłem zwrócić się na drogę do Madrytu. «Zgoda, rzekł, ja także idę w tę stronę, ale zacznijmy naprzód od przyjęcia

jakiego posiłku.» To mówiąc dobył z kieszeni pozłacaną czarę, słoik napelniony pewnym rodzajem opiatu i flaszkę kryształową w której znajdował się jakiś płyn żółtawy. Wrzucił do czary łyżeczkę opiatu, wlał kilka kropel płynu i kazał mi wszystko razem wypić. Nie dałem sobie tego powtarzać gdyż omdlewałem z czości. W istocie napój był cudownym. Uczulem się tak pokrzepionym że śmiało mogłem przedsięwziąć dalszą drogę, co wprzódby byłoby mi zupełnie niepodobnem.

Słońce wzbilo się już wysoko gdy spostrzegliśmy nieszczęsną gospodę Venta-Quemada, kabalista zatrzymał się i rzekł: «Oto jest miejsce w którym tej nocy wyrządzono mi niegodziwą psotę. Trzeba nam jednak wejść do tej przeklętej gospody, zostawiłem tu bowiem niektóre zapasy któremi będziemy mogli się posilić.

Weszliśmy do opuszczonej Venty i znaleźliśmy w jadalnym pokoju stół zastawiony pasztetem i dwoma butelkami wina. Kabalista zdawał się być przy wybornym apetycie; przykład jego dodał mi odwagi, inaczej bowiem wątpię czy byłbym odważył się ponieść co do ust. Wszystko to co od kilku dni wi-

działem tak pomieszało moje wyobrażenia, że sam nie wiedziałem co czyniłem i gdyby kto był uwziął się, byłby mógł wprowadzić mnie w wątpliwość o mojem własnem istnieniu.

Po skończonym obiedzie, zaczęliśmy przebiegać komnaty i przybyliśmy do tej w której spałem pierwszego dnia mego wyjazdu z Anduhar. Poznałem moje nieszczęsne posłanie i usiadłszy na niem jałem rozmyślać nad tem wszystkim co mi się wydarzyło, szczególnie zaś nad wypadkami doświadczonemi w jaskini. Przypomniałem sobie że Emina uprzedziła mnie żebym nie dawał wiary, gdyby mi co złego o niej mówiono. Właśnie pograżyłem się w tych myślach, gdy kabalista zwrócił moją uwagę na coś błyszczącego, utkwionego między szparami podłogi. Pojrzałem bliżej i przekonałem się że były to relikwie zabrane mi przez dwie siostry w jaskini. Widziałem jak je wrzucały w rozpadlinę skały a teraz znajdowałem je w szparze podłogi. W istocie zacząłem powątpiewać czym wychodził kiedy z tej przeklętej gospody i czy pustelnik, inkwizytor, bracia Zota nie byli widmami spłodzonymi przez obłęd czarodziejski. Tymczasem za pomocą szpady dobyłem relikwie i zawiesiłem je na szyi.

Kabalista zaczął śmiać się i rzekł: « To jest twoja własność Mości kawalerze. Jeżeli tu noc przepędziłeś, wcale nie dziwię się żeś się obudził pod szubienicą. Mniejsza o to, wychodźmy ztąd, musimy tego jeszcze wieczora stanąć w pustelni.

Opuściliśmy gospodę i nieuszliśmy jeszcze połowy drogi gdy spotkaliśmy pustelnika który z trudnością włókł się o kiju. Skoro tylko nas spostrzegł, zawołał: « Ach, mój młody przyjacielu, właśnie szukałem cię, wracaj do mojej pustelni; wyrwij swoją duszę ze szponów szatana, ale tymczasem podaj mi rękę. Nie szczędziłem dla ciebie gorliwych usiłowań. » Wypocząwszy przez chwilę, ruszyliśmy w dalszą drogę, starzec postępował z nami wspierając się raz na jednym to znowu na drugim. Nareszcie przybyliśmy do pustelni.

Zaledwie wszedłem, ujrzałem Paszeka rozciągniętego na środku izby. Zdawał się być na skonaniu, piersiami przynajmniej wydawał to chrapanie jakie rychłą śmierć zapowiada. Chciałem przemówić do niego ale niepoznał mnie; wtedy pustelnik zaczerpnął święconej wody, pokropił nią opętanego i rzekł: « Paszeco, Paszeco, w imieniu twego Odkupiciela,

nakazuję ci opowiedzieć co ci się wydarzyło tej nocy.» Paszeko zadrżał, zaryczał straszliwie i tak zaczął mówić:

OPOWIADANIE PASZEKA.

« Mój ojciec, właśnie znajdowałeś się w kaplicy i śpiewałeś litanje, gdy postłyszałem kołatanie do drzwi i beczenie zupełnie podobne do tego jakie wydaje nasza biała koza. Myślałem więc że zapomniałem ją wydoić i poczciwe zwierzę, przyszło mi przypomnieć mój obowiązek. Tem bardziej trwałem w tem przekonaniu że właśnie przed kilkoma dniami wydarzył mi się podobny wypadek. Wyszedłem z chaty i w samej rzeczy ujrzałem naszą białą kozę która obracała się tyłem do mnie, pokazując mi nadęte wymiona. Chciałem ją przytrzymać aby jej oddać żadaną przysługę, ale wymknęła się z moich rąk i co chwila zatrzymując się i uciekając dalej, zaprowadziła mnie na brzeg przepaści tuż obok twojej pustelni.

Przybywszy tam, biała koza nagle przerzuciła się w czarnego kozła; przeląknęłam się na widok tej przemiany i chciałem uciekać ku naszemu mieszkaniu, ale czarny kozioł

przeciał mi drogę i wspiąwszy się na tylnych nogach, spojrzał na mnie płomiennymi oczyma. Strach ściał mi lodem krew w żyłach.

Natenczas czarny kozioł zaczął bić mnie rogami i zwracać ku przepaści; gdy już mnie tam doprowadził, zatrzymał się na chwilę jakby pragnął cieszyć się widokiem moich męczarni. Nareszcie strącił mnie w przepaść. Myślałem że się rozbiję w proch, ale kozioł przedemną stanął na dnie przepaści i przyjął mnie na grzbiet bez żadnego przypadku.

Tu nowa bojaźń mnie ogarnęła, gdyż zaledwie kozioł poczuł mnie na grzbiecie, wnet dziwnym sposobem zaczął galopować. Jednym skokiem przeskakiwał z góry na górę i przesadzał najgłębsze przepaści, nareszcie otrząsł się i sam niewiem jak znalazłem się w jaskini, gdzie spostrzegłem młodego podróżnego który przed kilkoma dniami nocował w naszej pustelni.

Młodzieniec siedział na łóżku, obok niego zaś siedziały dwie prześliczne dziewczyny ubrane po maurytańsku. Dziewczęta okrywając go pieszczotami, zdjęły mu z szyi relikwie i w tej chwili straciły całą piękność w mych oczach, poznałem w nich bowiem dwóch wisielców z doliny Los-Hermanos,

Wszelako młody podróżny, biorąc je zawsze za piękne kobiety, przemawiał do nich najczulszemi wyrazy. Natenczas jeden z wisielców zdjął stryczek z szyi i zaciągnął go na szyję młodzieńca który dziękował mu z niewypowiedzianą wdzięcznością. Co się dalej stało, już nie widziałem, chciałem krzyknąć ale niemogłem wydać żadnego głosu, siedziałem jak skamieniały; gdy wtem północ wybiła i ujrzałem wchodzącego szatana z ognistemi rogami i płomienistym ogonem który kilku djablików niosło za nim.

Szatan w jednej ręce trzymał księgę w drugiej zaś widły. Zbliżył się do podróżnego i zagroził mu śmiercią jeżeli nie przejdzie na wiarę Machometa. Wtedy widząc duszę chrześcijańską w niebezpieczeństwie, zebrałem wszystkie siły, krzyknąłem i zdaje mi się że młodzieniec mnie usłyszał. Ale w tej samej chwili wisielcy poskoczyli ku mnie i wyciągnęli mnie do drugiej izby gdzie znalazłem tego samego kozła. Jeden wisielec wsiadł na kozła, drugi na mnie i tak znowu zmusili nas obu galopować z niemi przez góry i przepaście. Wisielec który siedział na mnie ścisnął mi boki piętami, ale znajdując zapewne że nie dość szybko biegłem, podjął po drodze dwa

skorpiony, przyczepił je do nóg zamiast ostróg i zaczął mi rozdzierać boki z niesłychanem okrucieństwem. Nareszcie przybyliśmy do drzwi pustelni gdzie mnie straszylą porzuciły. Tego poranku mój ojciec znalazłeś mnie bez przytomności, sądziłem że byłem ocalony, ujrawszy się w twoich objęciach ale jad skorpionów zatrzał mi krew. Jad ten pali mi wnętrzności i czuję że nieprzeżyję więcej tych cierpień.» — To mówiąc opętanicz zaryczał straszliwie i umilkł.

Wtedy pustelnik zabrał głos i rzekł: «Słyszalesz synu mój, może to być żebyś miał być do czynienia z dwoma szatanami? Pójdź, wypowiadaj się, wyznaj twoje winy. Miłosierdzie boskie jest bez granic. Nie odpowiadasz?. Byłżebyś już tak dalece zatwardziałym w grzechu?»

Zastanowiwszy się przez chwilę, odpowiedziałem: «Mój ojciec, ten pan opętany widział rzeczy całkiem odmiennie. Jeden z nas bezwątpienia był otumanionym, może nawet i oba źle widzieliśmy. Ale oto masz przed sobą szlachetnego kabalistę, który także nocował w Venta-Quemada. Może zechce nam opowiedzieć swoje przygody w których znaj-

dziemy nowe światło co do wypadków jakie nas od kilku dni zajmują. »

« Panie Alfonsie, — przerwał Kabalista — ludzie którzy tak jako ja oddają się tajemniczym naukom nie mogą wypowiedzieć wszystkiego. Postaram się jednak o ile możności zadowolić ciekawość, ale jeżeli pozwolisz nie tego wieczora. Posilmy się wieczszą i idźmy spać, jutro będziemy przy świeższych umysłach. »

Pustelnik zastawił nam skromną wieszę, po której każdy odszedł do siebie. Kabalista utrzymywał że musi przepędzić noc obok opętanego, ja zaś udałem się do kaplicy. Położyłem się na tem samym łożu z mchu na którym już jedną noc przepędziłem, pustelnik życzył mi dobrego snu i uprzedził że dla większej pewności, odchodząc, zamknie drzwi za sobą.

Zostawszy sam, zacząłem rozmyślać nad opowiadaniem Paszeka. Nie było wątpliwości że znajdował się razem ze mną w jaskini, widziałem także jak moje kuzynki poskoczyły do niego i wyciągnęły go do drugiej izby; ale Emina uprzedziła mnie abym nie wierzył gdyby mi co złego o niej i o siostrze mówiono. Wreszcie szatany które opętały Pa-

szeka, mogły obłąkać mu zmysły i otumanić złudzeniami wszelkiego rodzaju. Tym sposobem szukałem różnych środków usprawiedliwienia i zachowania miłości dla moich kuzynek, gdy wtem usłyszałem bijącą północ.... Wkrótce potem usłyszałem kolatanie do drzwi i beczenie kozy. Wziąłem szpadę, poszedłem do drzwi i zawołałem mocnym głosem: « Jeżeliś szatan, staraj się sam otworzyć te drzwi które pustelnik zamknął. » Koza umilkła. Położyłem się i spałem aż do ranka.

DZIEŃ DZIEWIĄTY.

Pustelnik przyszedł mnie obudzić, siadł na mojem łóżku i rzekł: « Moje dziecko, złe duchy znowu tej nocy wyprawiły w mojej pustelni piekielne harce. Samotnicy Tebaidy nie byli więcej odemnie wystawionemi na złość szatańską; niewiem przy tem co mam sądzić o człowieku który przybył z tobą i zwie się Kabalistą. Przedsięwziął wyleczyć Paszeka i w istocie wiele mu pomógł, ale bynajmniej nie używał exorcyzmów przepisanych przez rytuał naszego świętego kościoła. Pójdź do mojej pustelni, śniadanie czeka na nas, po którem usłyszymy zapewne przygody tego dziwnego nieznanego. »

Wstałem i udałem się za pustelnikiem. W istocie znalazłem Paszeka w daleko lepszym stanie i z twarzą nawet mniej odrażającą. Zawsze był ślepym na jedno oko, ale nie wywieszał już tak obrzydliwie języka. Usta przestały mu pienieć się i pozostałe oko

toczyło mniej błędne spojrzenia. Powinśzowałem kabaliście, który mi odrzekł, że to był tylko słaby dowód jego umiejętności. Nastędnie pustelnik przyniósł śniadanie, złożone z gorącego mleka i kasztanów.

Podczas gdy pożywaliśmy tę skromną ucztę, ujrzeliśmy wchodzącego człowieka chudego i wybladłego, którego cała postać wstręt wzbudzała, chociaż nie można było rzec co było przyczyną tego odrażającego wrażenia. Nieznajomy ukląkł przedemną i zdjął kapelusz. Wtedy ujrzałem że miał owiązane czoło. Wyciągnął ku mnie kapelusz jak gdyby prosił o jalmużnę. Rzuciłem mu sztukę złota. Szczególniejszy żebrak podziękował mi i dodał: «Panie Alfonsie, twój dobry uczynek nie będzie straconym, uprzedzam cię że ważny list czeka na ciebie w Puerto-Lapicha. Przeczytaj go zanim wejdziesz do Kastylji.»

Udzieliwszy mi to ostrzeżenie, nieznajomy ukląkł przed pustelnikiem który mu napelniał kapelusz kasztanami, następnie uczynił to samo przed kabalistą, ale wnet zerwał się mówiąc: «Od ciebie niczego nie żądam, jeżeli powiesz kto jestem, gorzko kiedyś tego pozalujesz.» Po tych słowach wyszedł z pustelni.

Gdy zostaliśmy sami, kabalista zaczął śmiać się i rzekł: «Aby wam dowieść jak mało lękam się pogroźek tego człowieka, zaraz wam powiem że to jest Żyd wieczny tułacz o którym zapewne musicie słyszeć. Już przeszło od ośmnastu wieków, ani razu nie usiadł, ani położył się, nie odpoczął, nie zasnął. Ciągłe idąc przed sobą, zje wasze kasztany i nazajutrz rano będzie już ztąd o jakie sześćdziesiąt mil. Zwykle, przebiega we wszystkich kierunkach, niezmiernie pustynie Afryki. Żywi się dzikimi owocami, a draieżne zwierzęta mijają go bez szkody z powodu świętego piętna, wyrytego na jego czole. Dla tego to, jak uważaliście, nosi na głowie przepaskę. Nie bywa on nigdy w naszych okolicach chyba na wezwanie jakiego kabalisty. Wreszcie mogę wam zaręczyć że ja go tu wcale nie wezwałem, nie mogę go bowiem cierpieć. Jednakowoż muszę wyznać, że często wie on o wielu rzeczach, radzę ci zatem panie Alfonsie nie zaniedbywać jego przestrogi.»

«Mości kabalisto, — odpowiedziałem — Żyd doniósł mi że list czeka mnie w Puerto-Lapiche. Spodziewam się tam po jutrze stanąć i niezapomnę zapytać oberżysty.»

« Nie potrzeba tak długo czekać, — odparł kabalista — musiałbym mało znaczyć w świecie gieniuszów, gdybym nie mógł mieć tego listu wcześniej. » To mówiąc pochylił głowę na prawe ramię i wyrzekł kilka wyrazów rozkazującym głosem. W przeciągu pięciu minut, upadł na stół wielki list pod moim adresem. Rozpieczętowałem go i przeczytałem co następuje:

« Panie Alfonsie!

Z rozkazu JK. Mości naszego Najmilszego Pana Don Ferdynanda IV. uprzedzam cię abyś wstrzymał twój przyjazd do Kastylii. Srogość tę winienesz jedynie przypisać nieszczęściu, które spowodowało że rozgniewałeś na siebie święty trybunał zajmujący się zachowaniem czystości wiary w Hiszpanji. Wypadek ten jednak niech w niczem nie zmniejsza twojej gorliwości w chęci służenia królowi. Wraz z niniejszem, załączam ci urlop na trzy miesiące, przepędź ten czas na granicach Kastylii i Andaluzji, wszelako nie staniaj się zbyt w żadnej z obu tych prowincji. Pomyślano już o zaspokojeniu twego czcigodnego ojca i przedstawiono mu całą te

sprawę w świetle wcale go nie raziącem. »

Twój życzliwy

Don Sanche de Tor de Pennas
Minister wojny.

Do tego listu, przyłączony był urlop na trzy miesiące, opatrzony potrzebnymi podpisami i pieczęciami.

Podziwialiśmy pośpiech gońców kabalisty, następnie prosiliśmy go aby dotrzymał nam obietnicy i opowiedział wypadki przeszłej nocy w Venta Quemada. Odrzekł nam jak wczoraj, że niezrozumiemy wiele rzeczy w jego opowiadaniu, ale zastanowiwszy się przez chwilę, zaczął w te słowa:

HISTORIA KABALISTY.

Nazywają mnie w Hiszpanji Don Pedro de Uzeda i pod tem nazwiskiem o milę z tąd posiadam piękny zamek. Prawdziwe moje miano jest: Rabi Sadok Ben Mamoun, jestem bowiem żydem. Wyznanie tego rodzaju jest cokolwiek niebezpiecznem w Hiszpanji, ale oprócz że ufam waszej uczciwości, uprzedzam was że nie tak łatwo byłoby mi zaszkodzić. Wpływ gwiazd na moje przeznaczenie zaczął objawiać się od pierwszych

chwil mego życia. Ojciec mój wyciągnawszy mój horoskop, przejęty był radością, gdy ujrzał że przyszedłem na świat właśnie gdy słońce przechodziło w znak Panny. Wprawdzie użył całej umiejętności na dopięcie tego celu, ale niespodziewał się tak dokładnego skutku.

Nie potrzebuję wam mówić że ojciec mój Mamon, był pierwszym astrologiem swego czasu. Wszelako gwiazdarstwo, było jedną z najmniejszych nauk jakie posiadał, szczególnie posunął znajomość kabalistyki do stopnia jakiego żaden z Rabinów dotąd nie osiągnął.

We cztery lata po mojem przyjsciu na świat, mój ojciec miał córkę, która narodziła się pod znakiem Bliźniąt. Pomimo tej różnicy, jednakowo nas wychowano. Nie miałem jeszcze dwunastu lat, moja siostra zaś ośmiu kiedy umieliśmy już po hebrajsku, po chaldejsku, po syro-chaldejsku, znaleźmy mowy Samarytanów, Koptów, Abissyńczyków i różne inne umarłe lub umierające języki. Nadto bez pomocy ołówka, mogliśmy rozłożyć litery każdego wyrazu, wedle wszelkich zasad oznaczonych prawidłami kabalistyki.

Wtedy to właśnie kończyłem dwunasty rok, z niezwykłą starannością ułożono nasze włosy

w pierścienie ażeby zastosować się do znaku pod którym się urodziłem, dawano nam do jedzenia mięso z czystych zwierząt, wybierając dla mnie samców, samice zaś dla mojej siostry.

Gdy zacząłem szesnasty rok, mój ojciec postanowił nas przypisać do tajemnic kabały Szafiroth. Naprzód dał nam do rąk Sepher Zoohar, czyli tak nazwaną jasną księgę w której nic nie można zrozumieć, tak dalece jasność dzieła ślepi wzrok patrzących. Następnie zagłębialiśmy się nad Siphra-Dzaniutha, czyli tajemniczą księgą w której najrozumialszy peryód mógł wybornie ująć za zagadkę. Nakoniec przystąpiliśmy do Hadra-Raby i Hadra-Suthy, to jest do małego i wielkiego Sanhedrinu. Są to rozmowy w których Rabbi Simeon syn Jochaja, autor dwóch poprzednich dzieł, zniżając styl do potocznej rozmowy, udaje że naucza dwóch przyjaciół najprostszych rzeczy. Tymczasem zaś odślania im najbardziej zadziwiającej tajemnice, czyli raczej wszystkie te objawienia pochodzą nam prosto od proroka Eliasza, który pokryjomu opuścił niebieskie krainy i był obecnym na zgromadzeniu pod przybranem nazwiskiem Rabina Abby. Być może że wy wszyscy wy-

obrazacie sobie jakobyście nabyli prawdziwego pojęcia o tych boskich księgach, z tłumaczenia łacińskiego wydanego wraz z oryginałem chaldejskim r. 4684. w małym miasteczku niemieckim nazwanem Frankfurt, ale my śmiejemy się z zarozumiałości tych, którzy sądzą że dość zwyczajnego wzroku ludzkiego aby mózdz czytać w tych księgach. To zapewne wystarcza do czytania niektórych języków terażniejszych, ale w hebrajskim każda litera jest liczbą, każdy wyraz przemądrą kombinacją, każdy peryód straszliwą formułą którą gdy kto potrafi wymówić z potrzebnym przydechem i akcentami, z łatwością może poruszać góry i osuszać rzeki.

Wicie dobrze że Adunai jednym słowem stworzył świat i następnie sam zamienił się w słowo. Słowo uderza umysł i powietrze, działa na zmysły i duszę zarazem. Chociaż nie zajmowaliście się temi naukami, możecie jednak zrozumieć że to słowo musi koniecznie pośredniczyć między materją a istotą duchową wszech rzeczy. Mogę wam tylko powiedzieć, że nie tylko z każdym dniem nabywaliśmy nowych wiadomości, ale nadto nowej potęgi, której jeżeli nieśmieliśmy jeszcze używać, przecież z dumą cieszyliśmy się, że

według wewnętrznego naszego przekonania siła ta w nas tkwiła. Wkrótce jednak najsmutniejszy wypadek, przerwał nasze rozkosze kabalistyczne.

Każdego dnia uważaliśmy z moją siostrą że nasz ojciec Mamon upadał na siłach. Zdawał się być czystym duchem który dla tego tylko przybrał ludzką postać, aby mógł być łatwiej dostrzeżonym przez podksiężycowe istoty. Pewnego dnia nareszcie kazał nas zwołać do swojej pracowni. Postawa jego tak była boską i czcigodną, że mimowolnie padliśmy przed nim na kolana. Zostawił nas w tem położeniu i wskazując na klepsydrę rzekł: «Zanim ten piasek się przesyple już nie będę na tym świecie. Pamiętajcie wszystkie moje słowa. Synu mój, do ciebie napróżd się odzywam, przeznaczyłem ci niebiańskie małżonki: córki Salomona i królowej Saby. Po przyjściu ich na świat nikt nie sądził aby kiedy mogły stać się nieśmiertelnemi, ale Salomon nauczył królowę wymawiać imię tego który jest. Królowa wymawiała to imię w chwili pogoju. Nadleciały gieniusze wielkiego wschodu i przyjęły dwoje bliźniąt zanim te dotknęły się nieczystego siedliska, które zowią ziemią; następnie uniosły je w sfery có-

rek Elohima, gdzie udzielono im dar nieśmiertelności z mocą podzielenia go z tym którego kiedyś dwie bliźnie siostry wybiera za wspólnego małżonka. Te to są dwie małżonki nie wypowiedzianych przymiotów, o jakich ojciec ich wspominał w swoim Szir-haszirim, czyli kantyczkach nad kantyczkami. Zastanawiaj się nad tym Epitalmem od dziewięciu do dziewięciu zwrotek. — Dla ciebie moja córko, przeznaczam daleko świetniejszy związek. Dwaj Thaminowie, ci sami których Grecy znali pod nazwiskiem Dioskurów, Fenicyanie, Kabirów, jednym słowem bliźnięta Zodzaku, będą twoimi małżonkami. Co mówię?.. serce twoje jest zbyt czułe... lękam się aby jaki śmiertelnik... — Już brak piasku w klepsydrze... umieram.»

Po tych słowach mój ojciec zemdlął i w jednej chwili w miejscu na którym spoczywał znaleźliśmy tylko garstkę lekkiego i świetlnego popiołu. Zebrałem te szacowne szczątki, złożyłem je w urnie i umieściłem w skrzyni dziesięciorga przykazań, tuż nad skrzydłami cherubinów.

Pojmujecie że nadzieja nieśmiertelności i posiadania dwóch niebiańskich małżonek, podwoiła we mnie zapal do nauk kabalisty-

cznych, wszelako przez długie lata nie śmiałem wzbić się do nieograniczonej wysokości i poprzestałem na zawładnięciu przez moje zaklęcia kilku gieniuszami ośmnastego stopnia. Jednakowoż z każdym rokiem nabierałem więcej śmiałości; przeszłego lata zacząłem pracować nad pierwszymi zwrotkami Szir-ha-szirimu. Zaledwie pierwszy wiersz rozłożyłem, gdy w tem przeraźliwy łoskot, jak gdyby cały mój zamek walił się z posad; obił się o moje uszy. Bynajmniej nie przełękłem się, owszem byłem przekonany że praca wybornie mi się udała. Przeszedłem, do drugiego wiersza i gdy go ukończyłem. lampa z mego stołu zleciała na podłogę, podskoczyła kilka razy i legła przed wielkiem zwierciadłem zawieszonem w głębi mego pokoju. Spojrzałem w zwierciadło i postrzegłem końce dwóch prześlicznych kobiecych nóżek. Wnet za temi pokazały się i drugie. Pochlebiałem sobie, że te zachwycające nóżki należały zapewne do niebieskich córek Salomona, ale nie śmiałem prowadzić dalej moich poszukiwań.

Następnej nocy znowu wziąłem się do pracy i ujrzałem dwie pary nóżek do kostek; we dwadzieścia cztery godzin później już za-

czynalem spostrzegać kolana, ale w tem słońce wyszło ze znaku Panny i musiałem zaprzestać.

Gdy słońce wkroczyło w znak Bliźniat, moja siostra ze swojej strony przedsięwzięła podobne poszukiwania i ujrzała nie mniej zadziwiające zjawisko, ale nie myślę wam opowiadać tego co niema żadnego związku z moją własną historią.

Tego roku już znowu chciałem rozpocząć przerwana pracę gdy dowiedziałem się że sławny adept miał właśnie przejeżdżać przez Kordowę. Sprzeczka jaką miałem z tego powodu z moją siostrą, skłoniła mnie do odwiedzenia go. Spóźniłem się nieco z wyjazdem z domu i na wieczór zaledwie stanąłem w Venta-Quemada. Znalazłem gospodę opuszczoną z powodu złych duchów które ją zamieszkiwały, ponieważ jednak ja wcale się ich nie lękam, rozgościłem się w jadalnej izbie i rozkazałem małemu Nemraelowi aby mi przyniósł wieczerzę. Nemrael, jest to mały gienusz ostatniego stopnia, którego używam do podobnych posyłek i on to właśnie przyniósł twój list z Puerto-Lapiche. Poszedł do Anduhar, gdzie nocował jakiś przeor Benedyktynów, porwał mu bez ceremonji wie-

czereżę i przyniósł mi ją do gospody. Wieczera składała się z pasztetu z kuropatw, który znalazłeś jeszcze nazajutrz z rana; byłem jednak tak znużony że zaledwie się jej dotknąłem, odeslałem więc Nemraela do mojej siostry i sam położyłem się spać.

Śród nocy, rozbudził mnie dźwięk zegaru bijącego północ. Po tej przygrywce czekałem na ukazanie się jakiego ducha i przygotowałem się na odpędzenie go, gdyż w ogóle są to przykrzy i nieproszeni goście. W tych zamiarach, nagle ujrzałem mocne światło na stole pośród pokoju, następnie wyskoczył mały błękitny rabinek który zaczął wybijać pokłony przed pulpitem, jak zwykli czynić rabini podczas modlitwy. Miał zaledwie stopę wysokości i nie tylko jego szaty były błękitne, ale nawet twarz, broda, pulpit i księga. Poznałem natychmiast że nie był to duch ale gienusz dwudziestego siódmego stopnia. Nie wiedziałem jak się nazywa i wcale go dotąd nie znałem. Jednakże użyłem formuły, której powszechnie wszystkie duchy ulegają. Natenczas mały błękitny rabinek zwrócił się do mnie i rzekł: «Zacząłeś całą twoją pracę na wspak i to jest przyczyna dla której ujrzałeś naprzód nogi córek Salomona. Zaczynij

naprzód od ostatnich zwrotek i staraj się przede wszystkim odgadnąć imiona niebiańskich piękności. » To wyrzekłszy, mały rabinek znikł bez żadnego śladu. To co mi powiedział było przeciwko wszystkim zasadom kabalistyki, wszelako byłem tak nieprzezornym że posłuchałem jego zdania. Zacząłem składać ostatnią zwrotkę Szir-ha-Szirimu i szukając nazwisk dwóch nieśmiertelnych wynalazłem imiona: Emina i Zibelda. Mocno byłem zdziwiony, wszelako rozpocząłem zaklęcia. Wtedy ziemia straszliwie zadrżała pod moimi nogami, zdało mi się że niebo pęka mi nad głową i padłem bez zmysłów.

Przyszedłszy do przytomności, ujrzałem się w miejscu połyskującym niezwykle światłem i w objęciach kilku młodzieńców piękniejszych od aniołów z których jeden rzekł do mnie: « Synu Adama! powróć do zmysłów, jesteś tu w mieszkaniu tych którzy nie umierają. Rządzi nami patriarchy Henoah który postępował przed Elohimem i porwanym został z ziemi. Prorok Eliasz jest naszym arcykapłanem i wóz jego zawsze będzie na twoje rozkazy, skoro tylko zechcesz używać przejażdżki na tym planecie. My jesteśmy Egregorami, czyli dziećmi splodzonemi z synów

Elohima i córek człowieczych. Zobaczysz także między nami kilku Nefelimów, wszelako w małej liczbie. Pójdź, przedstawimy cię naszemu władcy. » Udałem się za nimi i stanąłem u stóp tronu na którym Henoah zasiadał; pojrzałem na patriarchy, ale żadnym sposobem nie mogłem znieść blasku jego oczu, moich zaś nie śmiałem podnieść wyżej jak na jego brodę, która była podobną do tego bladego światła jakie otacza księżyc podczas wilgotnych nocy.

Obawiałem się aby moje uszy były w stanie znieść dźwięk jego głosu, ale głos ten był słodszy niż harmonię boskich organów. Pomimo to jeszcze go złagodził, mówiąc do mnie: « Synu Adama, natychmiast przywiodą ci twoje małżonki. » W tej samej chwili ujrzałem wchodzącego proroka Eliasza i trzymającego za ręce dwie piękności, których wdzięków śmiertelni nigdy pojąć nie mogą.

Przez przejrzyste ich ciała można było widzieć dusze i dokładnie rozpoznać jak ogień namiętności krążył im po żyłach i mieszał się z krwią. Za nimi dwóch Nefelimów niosło trójnog z kruszcu tak kosztowniejszego od złota, jak to dla nas droższemu jest od ołowiu. Córki Salomona podały mi ręce i zawiesiły

na szyi plecionkę utkaną z ich włosów. W tej samej chwili, żywy i czysty płomień wybuchnął z trójnoga i pożarł to wszystko co miałem w sobie śmiertelnego. Zaprowadzono nas do małżeńskiej komnaty, polyskującej chwałą i rozpromienionej miłością, otworzono ogromne okno które wychodziło na trzecie niebo, i wnet zabrzmiały boskie śpiewy aniołów. Rozkosz ogarnęła mi zmysły.....

« Ale cóż wam mogę jeszcze powiedzieć? nazajutrz z rana obudziłem się pod szubienicą Los-Hermanos, między dwoma trupami, równie jak ten oto młody podróżny. Z tego wniosłem że miałem do czynienia z niesłychanie złośliwymi duchami i których istoty nie znam dobrze, lękam się nawet aby ta przygoda nie zaszkodziła mi u prawdziwych córek Salomona, których tylko nóżki widziałem. »

« Nieszczęśliwy; zaślepięncze, — rzekł pustelnik — i czegoż to żalujesz?... Wszystko jest tylko złudzeniem w twojej przeklętej nauce. Duchy ciemności, które tylko naigrawały się z ciebie, zadały daleko straszniejsze męczarnie biednemu Paszeko. Bezwątpienia takiz sam los oczekuje tego młodego wojskowego, który przez zgubną zatwardziałość niechce wyznać win swoich. Alfonsie, synu

mój Alfonsie! żałuj za grzechy, jeszcze masz czas do tego. »

Zniecierpliwikł mnie ten upór pustelnika w żądaniu odemnie wyznań których niechciałem mu udzielić. Zimno mu odpowiedziałem: że wielce szanuję jego święte przestrogi, ale że uczucie własnego honoru było główną zasadą mego postępowania, poczem zaczęliśmy mówić o czem innym.

« Panie Alfonsie, — rzekł kabalista — ponieważ inkwizycya cię ściga a król rozkazuje ci trzy miesiące przepędzić na tej pustyni, ofiaruję ci mój zamek, poznasz moją siostrę Rebekę, która równie jest piękną jak uczoną. Tak jest pójdź ze mną, pochodzisz z Gomelezów a krew ta nie jedno ma prawo do naszego współczucia. »

Spojrzałem na pustelnika aby odgadnąć z jego oczu co myśli o tym zamiarze? Zdawało się że kabalista przeniknął moje zamiary, gdyż zwróciwszy się do pustelnika rzekł: « Mój ojciec, znam cię lepiej anizeli się tego domyślasz. Wiara nadaje ci wielką potęgę; moje środki, chociaż nie tak święte jednakowoż nie są djabelskie. Racz także przyjąć u mnie gościnność wraz z Paszekiem, którego bądź pewnym że zupełnie wyleczę. »

Pustelnik za nim odpowiedział zaczął się modlić, po chwili namysłu zbliżył się do nas z wesołą twarzą i rzekł że gotów był nam towarzyszyć. Kabalista pochylał głowę na prawe ramię i kazał przyprowadzić konie. Wnet ujrzeliśmy parę pięknych koni przed drzwiami pustelni i dwa muły dla pustelnika i opętanego. Chociaż zamek oddalony był o dzień drogi, jak nam powiedział Ben-Mamoun, przecież w przeciągu godziny stanęliśmy u kresu podróży.

Przez cały czas, Ben-Mamoun opowiadał mi o swojej siostrze, tak że spodziewałem się ujrzeć jakąś Medeę z czarnym włosiem, z laską czarodziejską w ręce, mrużącą niezrozumiale kabalistyczne wyrazy. Zawiodłem się w moich oczekiwaniach. Zachwycająca Rebeka, która nas przyjęła u bramy zamkowej, była najroskoszniejszą jasnowłosą jaką można sobie wyobrazić. Snieżysta suknia, spięta zapinkami nieocenionej wartości, spływała po jej uroczej kibici. Zdawało się z powierzchowności, że mało dbała o strój, wszelako w przeciwnym nawet razie nie mogłaby powabniej podwyższyć uroku czarownych wdzięków.

Rebeka rzuciła się bratu na szyję mówiąc:

« Jakże bylam niespokojną o ciebie, zwłaszcza pierwszej nocy, żadnym sposobem nie mogłam dowiedzieć się co się z tobą stało. Cóż przez ten czas porabiałeś? »

« Później ci opowiem, — odrzekł Ben-Mamoun — teraz staraj się dobrze przyjąć gości których ci przyprowadzam. Oto jest pustelnik z doliny, ten młodzieniec zaś pochodzi z rodziny Gomelezów. »

Rebeka spojrzała obojętnie na pustelnika, ale rzuciwszy wzrok na mnie, splonęła lekkim rumieńcem i rzekła ze smutkiem: « Spodziewam się że na szczęście pan do nas należysz. »

Weszliśmy do zamku i wnet podniesiono za nami most zwodzony. Zamek był obszerny i utrzymywany w największym porządku, chociaż służba składała się tylko z jednego młodego mulata i mulatki w tym samym wieku. Ben-Mamoun zaprowadził nas naprzód do swojej biblioteki; była to mała sklepiona komnata służąca zarazem za pokój jadalny. Mulat rozesłał obrus, przyniósł olla-potridę i cztery nakrycia. Rebeka bowiem nie siadła z nami do stołu. Pustelnik jadł więcej jak zazwyczaj i zdawał się być wyrozumialszym. Paszeko, zawsze ślepy na jedno oko, uspokoił

się w swem opętaniu, nie rozechmurzył jednak oblicza i siedział w milczeniu. Ben-Mamoun smacznie zajadał, ale ciągle był roztargnionym i wyznał nam że wczorajsza przygoda bezustannie krążyła mu po głowie; gdy wstaliśmy od stołu, rzekł: « Oto są książki dla waszej zabawy, mój mulat jest na wasze rozkazy, tymczasem pozwólcie mi oddalić się, mam niektóre ważne zatrudnienia z moją siostrą. Zobaczymy się jutro w godzinie obiadowej. »

Ben-Mamoun odszedł i zostawił nas, że tak rzekę, panami całego zamku. Pustelnik wziął z biblioteki legendę o pierwszych ojcach żyjących samotnie na pustyni i rozkazał Paszekowi aby mu przeczytał kilka rozdziałów. Ja wyszedłem na taras zamkowy zwieczający się nad przepaścią w głębi której niewidzialny potok huczał z loskotem. Jakkolwiek okolica smutną mi się wydała, z niesłychanem jednak zadowoleniem zapatrywałem się na nią, lub raczej oddawałem się wrażeniom niezwykłego widoku. Nie tak tęsknota mnie ogarnęła, jak raczej wszystkie władze mego umysłu uległy odrętwieniu, spowodowanemu przez okropne wzruszenia jakich w ciągu tych kilku dni doznałem. Im bardziej zastanawiałem się nad doświadczonemi przygodami, tem mniej je

rozumiałem, nareszcie nieśmiałem już o nich myśleć z obawy abym całkiem nie postradał rozumu. Nadzieja przepędzenia kilku spokojnych dni w zamku Uzeda ukolysała nieco moją znękaną duszę. Tak rozmyślając powróciłem do biblioteki. Przy schyłku dnia mulat zastawił nam wieczerzę złożoną z zimnego mięsiva i suchych owoców, nie było jednak mięsa zwierząt nieczystych. Następnie rozłączyliśmy się: zaprowadzono pustelnika i Paszeka do jednego, mnie zaś do drugiego pokoju.

Położyłem się i zasnąłem; wkrótce jednak piękna Rebeka obudziła mnie mówiąc: « Panie Alfonsie, wybacz że považam się sen ci przerywać. Wracam od mego brata z którym czyniliśmy najstraszliwsze zaklęcia aby poznać istotę duchów które go napastowały w Venta-Quemada, ale usiłowania nasze pozostały bez skutku. Mniemamy że stał się igraszką Baalimów nad którymi nie posiadamy żadnej władzy. Jednakże kraina Henocha jest rzeczywiście taką, jaką ją widział. Wszystko to jest dla nas niesłychanie ważnem i zaklinam cię abyś nam opowiedział własne twoje przygody. » To mówiąc Rebeka usiadła obok mnie, ale zdawała się być jedynie zajęta wy-

jaśnieniem tajemnicy, którego żądała odemnie. Wszelako wytrwałem w milczeniu i poprzestałem na oświadczeniu, że poprzysiągłem na honor nie wspominać przed nikim o tem co widziałem.

« Jak możesz jednak mniemać, panie Alfonsie, — mówiła dalej Rebeka — ażeby słowo honoru dane dwom szatanom, było obowiązującym? Dowiedzieliśmy się już że są to dwa złe duchy niewieście, z których jeden zwie się Eminą drugi zaś Zibeldą, wszelako nie możemy dotąd przeniknąć istoty tych szatanów, gdyż w naszej nauce jak we wszystkich innych, niemożna wszystkiego wiedzieć. »

Dawałem zawsze odmowną odpowiedź i prosiłem piękną dziewczynę aby mi więcej o tem nie wspominała. Natenczas spojrzała na mnie z wyrazem nieopisanej łagodności i rzekła: « Jakże szczęśliwym jesteś że możesz trzymać się zasad cnoty które kierują wszystkimi twojemi uczynkami? jakiej spokojności sumienia możesz kosztować? jakże nasz los różnym jest od twojego?.. Chcieliśmy ujrzeć rzeczy niedostrzeżone dla śmiertelnego wzroku, i zrozumieć to czego umysł ludzki nie jest w stanie pojąć. Ja nie byłam stwo-

rzoną do tych nadziemskich umiejętności; cóż mi przyjdzie po marnem panowaniu nad ziemi duchami? Wolałabym stokroć panować nad sercem przywiązanego małżonka, ale mój ojciec tak chciał i muszę uleść memu przyrzeczeniu. » Przy tych słowach, Rebeka do-
 była chustki i otarła lzy perlami spadające po jej pięknem obliczu, poczem dodała: « Panie Alfonsie, pozwól mi wrócić jutro o tej samej godzinie i jeszcze starać się przezwyciężyć twój upór, czyli jak sam nazywasz, niezłomne przywiązanie do twego słowa. Wkrótce słońce przejdzie w znak Panny, wtedy nie będzie już czasu i spełni się przeznaczenie. » Żegnając, Rebeka ścisnęła mi rękę z wyrazem przyjaźni i zdawała się z przykrością wracać do swoich kabalistycznych zatrudnień.

DZIEŃ DZIESIĄTY.

Obudziłem się wcześniej jak zazwyczaj i wyszedłem na taras aby odetchnąć świeżem powietrzem zanim słońce go rozpali. Spokój panował do koła, potok nawet zdawał się huczyć z mniejszym łoskotem i pozwalał słyszeć harmonijne śpiewy ptasząt. Pogoda żywiołów odbiła się w mej duszy i mogłem zimno zastanowić się nad tem wszystkim co mi się wydarzyło od czasu mego wyjazdu z Kadyxu. Teraz dopiero przypomniałem sobie kilka wyrazów, które przypadkiem wymknęły się Don Emmanuelowi de Sa, gubernatorowi miasta, i osądziłem że on także musiał coś wiedzieć o tajemniczym bycie Gomelezów a nawet mieć udział w części całej tajemnicy. Gubernator sam nastęrczył mi dwóch służących, Lopeza i Moskita, przypuszczam więc że ci z jego rozkazu opuścili mnie na wstępie do nieszczęsnej doliny Los-

Hermanos. Moje kuzynki często dały mi do zrozumienia że chciano wystawić mnie na próby. Myślałem że w Venta-Quemada dano mi usypiający napój i następnie podczas snu przeniesiono pod szubienicę. Paszeko mógł oślepnąć na jedno oko z wcale innego przypadku i jego miłosne stosunki i straszna przygoda z dwoma wisielcami, mogły być bajką. Pustelnik który za pomocą spowiedzi chciał wyrwać mi tajemnicę, zdawał mi się być narzędziem Gomelezów. dla doświadczenia mojej stałości. Nareszcie zaczynałem jaśniej przeziierać w całym tumanie moich przygód i wyklądać je bez przypuszczania uczestnictwa nadludzkich istot, gdy wtem usłyszałem dźwięki wesołej muzyki zdala okrażające górę. Muzyka coraz się przybliżała i spostrzegłem nadchodzącą bandę cyganów, która w takt postępowała przy towarzyszeniu gitar i kaskarras. Rozłożyli się obozem tuż pod tarasem, tak że dokładnie mogłem podziwiać wykwintność ich ubiorów i pociągów. Myślałem że to byli ci sami cyganie złodzieje pod których opiekę schronił się oberżysta z Cardenhas, jak mi to powiedział pustelnik; ale wydali mi się cokolwiek zanadto wyświeczonymi jak na lotrów. Podczas gdy się im przypa-

trywałem, rozbijali namioty, stawiali kociołki na ogniu i zawieszali kołyski z dziećmi na gałęziach poblizkich drzew. Po ukończeniu wszystkich tych przygotowań, oddali się przyjemnościom koczującego życia, wśród których na pierwszym miejscu kładą próżniactwo. Namiot naczelnika nie tylko odróżniał się od innych wielką buławą ze srebrną gałką, utkwioną przy wejściu, ale nadto ozdobięszą powierzchownością i bogatemi oponami, jakich zwykle nie widać u pospolitych cyganów. Ale jakież było moje zadziwienie gdy, z otwierającego się namiotu nagle ujrzałem wychodzące obie moje kuzynki w tym powabnym stroju jaki w Hiszpanji nazywają: *a la Hilana Mahha*. Zbliżyły się aż do stóp tarasu ale zdawały się wcale mnie nie spostrzegać. Następnie przywołały towarzyszki i zaczęły wykonywać ulubiony taniec hiszpański na te słowa:

«Quando me paco me azze,
Las palmas para vaylar,
Me se puene el corpecito
Como hecho de marzapan... etc.

Jeżeli piękna Emina i luba Zibelda zawróciły mi głowę ubrane po maurytańsku, nie mniej zachwyciły mnie w tym nowym stroju.

Znalazłem tylko że tym razem przybrały złośliwy i szydarczy uśmiech, który aczkolwiek dość był stosownym dla cygańskich wróżek, jednak zapowiadał że dziewczęta chcą mi wyrządzić nową psotę ukazując się pod tą nową i niespodziewaną postacią.

Zamek kabalisty był zewsząd pozamykany, gospodarz miał klucze u siebie, niemogłem więc zejść do cyganów. Przechodząc jednak podziemiem które wychodziło na łożysko potoku, mogłem bliżej je widzieć a nawet rozmawiać z nimi nie będąc wcale dostrzeżonym przez mieszkańców zamku. Udałem się więc tem tajemnym przejściem i niebawem potok rozdzielał mnie tylko od tancerek. Ale to wcale nie były moje kuzynki. Postacie ich wydały mi się nawet bardzo pospolitemi i zupełnie zastosowanemi do ich stanu.

Zawstydzony moją pomyłką, wolnym krokiem wróciłem na taras. Wtedy znowu spojrziałem i znowu jak najwyraźniej poznałem moje kuzynki. Zdalo mi się że one także mnie poznały, gdyż wybuchnęły głośnym śmiechem i uciekły do namiotów.

Byłem oburzony. «Przebóg! — rzekłem sam do siebie — możesz to być aby dwa tak miłe i rozkoszne stworzenia były złośliwymi

duchami, nawykłymi drwić ze śmiertelnych, przybierając kształty wszelkiego rodzaju, albo czarownicami, lub też, co byłoby najstraszliwszem, upiorami którym niebo dozwoliło ożywiać ohydne trupy wisielców z doliny Los-Hermanos. Wprawdzie mniemałem że zdolam sobie te rzeczy zwykłym sposobem wytłumaczyć, ale teraz sam już nie wiem czemu mam wierzyć.»

Zagłębiając w podobnych uwagach zwróciłem do biblioteki, gdzie znalazłem na stole wielką księgę pisaną gockimi literami, pod tytułem: Ciekawe opowiadania Hape-liusa. Księga była rozłożoną i stronnica jakby naumyślnie zagiętą na początku rozdziału, w którym wyczytałem co następuje.

HISTORIA TYBALDA DE LA JACQUIÈRE.

Żył raz w pewnem mieście francuzkiem położonem nad brzegami Rodanu i nazwanem Lyon, bogaty kupiec nazwiskiem Jakób de la Jacquière; Jakób wtedy przybrał to drugie nazwisko gdy porzucił handel i obrany został pierwszym radcą, którą to godność Lyończycy udzielają tylko ludziom majątnym i nieposzlakowanej uczciwości. Takim był w isto-

cie zacny radca de la Jacquièrre. Miłosierny dla ubogich i dobroczyunny dla mnichów i księży którzy są prawdziwymi ubogimi przed Panem.

Ale zupełnie był odmiennym od ojca, jedyny syn radcy, jespan Tybald de la Jacquièrre, towarzyszył w muszkietierach królewskich. Szalapat, zawadyaka, napastnik dziewcząt, kostera, nieprzyjaciel szyb i latarni, pijak i przeklinacz za dziesięciu majtków. Często w nocy zdarzało mu się zatrzymywać na ulicy spokojnych mieszczan, aby zamienić z nimi swój stary płaszcz lub zużyty kapelusz na nową odzież. Niebawem jespan Tybald napelnił odgłosem swoich sprawek, Paryż, Blois, Fontaine-belle-eau, i inne rezydencje królewskie. Wkrótce wreszcie te doszły uszu naszego Najjaśniejszego Pana, świętej pamięci Franciszka I., zniecierpliwiony wybrykami zuchwałego żołdaka, wysłał go do Lyonu na pokutę do domu jego ojca, zanego radcy de la Jacquièrre, który naówczas mieszkał na placu Belle-cour, jak się wychodziło na ulicę St. Ramond.

W domu ojcowskim przyjęto młodego Tybalda z taką radością, jak gdyby powracał z Rzymu obciążony wszystkimi odpustami

Ojca świętego. Nietylko że zabito tłuste ciele na jego przybycie, ale nadto radca de la Jacquièrre wyprawił ucztę która kosztowała więcej sztuk złota niż było biesiadników. Więcej nawet uczyniono. Wzniesiono toasty za zdrowie jedynaka i każdy zyczył mu roztropności i upamiętania. Ale te przyjazne oświadczenia bynajmniej nie przypadły mu do smaku. Rozpustnik wziął ze stołu złotą czarę i napelniwszy ją winem, zawołał: « Do milion kroć sto tysięcy djablów, wraz z ich naczelnikiem, któremu w tem winie zapisuję krew i duszę jeżeli się kiedykolwiek odmienię! » Na te straszliwe słowa, włosy najeżyły się na głowach biesiadników, niektórzy przeżegnali się, inni powstali od stołu. Jespan Tybald wstał także i udał się na przechadzkę na plac Belle-cour, gdzie znalazł dwóch swoich dawnych kolegów, podobnych sobie hultajów. Uściskał ich, przyprowadził do domu i kazał przynieść im kilka flaszek wina, nietroszcząc się wcale ani o ojca ani o resztę biesiadników.

Tak sprawił się Tybald pierwszego dnia po powrocie, nazajutrz powtórzył to samo i ciągle dalej żył tym samym sposobem.

Biedny ojciec trawiony smutkiem, postanowił polecić się patronowi świętemu Jakóbowi

i złożyć na jego ołtarzu dziesięcio-funtową świecę woskową, ozdobioną dwoma złotymi pierścieniami, każdy za pięć marków; ale właśnie gdy chciał położyć świecę na ołtarzu, przewrócił srebrną lampę która paliła się przed świętym obrazem. Radca, dla innego powodu kazał był ulać tę świecę, ale mając przed oczami przedewszystkiem nawrócenie syna, z radością wypełnił to poświęcenie; skoro jednak ujrzał świecę na ziemi i lampę przewróconą, wyciągnął z tego nieszczęsną przepowiednię i ze smutkiem powrócił do domu.

Tego samego dnia Tybald wyprawił ucztę dla swoich przyjaciół. Po wypróżnieniu mnóstwa butelek, gdy noc już oddawna była zapadła, wyszli wszyscy razem na plac Bellecour. Tam, wszyscy trzej wzięli się pod ręce i zaczęli z zadartymi głowami przechadzać się po placu, jak to zwykli czynić rozpustnicy kiedy chcą zwrócić uwagę dziewcząt. Tym razem jednak nic nie wskórali, nie było żadnej kobiety na placu a noc była tak czarna, że niepodobna było zobaczyć którą w oknie. Gdy tak znudzili się już tą samotnością, młody Tybald dobywszy grubego głosu i klnąc według zwyczaju, zawołał: « Do milion kroć sto-

tysięcy djabłów wraz z ich naczelnikiem któremu w tej chwili zapisuję krew i duszę, jeżeli przyśle mi tu swoją najmłodszą córkę abym się mógł trocha do niej poumizgać. » Mowa ta niepodobała się dwom przyjaciółom Tybalda którzy nie byli jeszcze tak zatwardziałymi grzesznikami i jeden z nich rzekł: « Przyjacielu nasz, pomyśl że szatan jest wiecznym wrogiem człowieka i że aby mu chętnie zaszkodził, nie potrzeba ani żeby go zapraszano, ani wzywano po nazwisku. » Na co Tybald odrzekł: « Jakom powiedział, tak uczynię. »

Śród tego, trzej hultaje, ujrzeli wychodzącą z sąsiedniej ulicy zakrytą kobietę, udanej kibici i jak się zdawało pierwszej młodości. Za nią biegł mały murzynek ale nagle potknął się, padł na twarz i siłkuł latarnię którą niósł w ręku. Młoda nieznajoma przelekła się i obróciła do koła jakby niewiedząc co z sobą począć?.. Natenczas Tybald zbliżył się i jak mógł najgrzeczniej ofiarował ramię aby ją odprowadzić do domu. Biedna dziewczyna po chwili namysłu przyjęła tę ofiarę. Tybald zwracając się do przyjaciół, rzekł im pół głosem: « Widzicie więc że ten kogo wzywałem nie długo kazał na siebie czekać: do

widzenia, życzę wam spokojnej nocy.» Dwaj przyjaciele zrozumieli te słowa i opuścili go, śmiejąc się i żegnając go podobnemi życzeniami.

Tybald więc ofiarował rękę nieznanajomej, podczas gdy on aly murzynek, któremu latarnia była zagasła, postępował przed niemi. Młoda kobieta zdawała się z początku tak zmieszana że zaledwie mogła utrzymać się na nogach, ale niebawem przyszła do siebie i śmiejąc wsparła się na ramieniu towarzysza, kilka razy potykała się, wtedy ścisła go za rękę aby nie upaść; Tybald z swojej strony, pragnąc ją zatrzymać, przyciskał jej rękę do serca, zawsze jednak z wielką ostrożnością ażeby nie spłoszyć zwierzyny.

Tak, długo i długo szli razem, że nareszcie Tybald mniemał że zabłąkali się w ulicach Lyonu. Nie użalał się jednak, gdyż sądził że tym sposobem piękna zabłąkana będzie dlań mniej okrutną. Wszelako chcąc się naprzód dowiedzieć z kim miał do czynienia, prosił ją aby raczyła wypocząć przez chwilę na kamiennej ławce którą spostrzegli przed drzwiami jakiegoś domu. Nieznajoma zgodziła się i usiedli obok siebie. Natenczas Tybald grzecznie ujął ją za rękę i z niezwykle dowci-

pem tak się odezwał: «Piękna gwiazdo błędna, ponieważ moja gwiazda zrządziła że cię spotkałem tej nocy, uczyni mi tę łaskę i powiedz mi kto jesteś i gdzie mieszkasz?» Młoda kobieta zrazu wahała się, po chwili jednak nabrała odwagi i zaczęła w te słowa:

HISTORIA POWABNEGO DZIEWCZĘCIA Z ZAMKU SOMBRE-ROCHE.

Nazywam się Orlandyna, przynajmniej tak mnie nazywało kilka osób które zamieszkiwały ze mną zamek Sombre-Roche w Pyreneach. Nie widziałam tam żadnego ludzkiego stworzenia, prócz mojej ochmistrzyni która była głuchą, służącą, która tak mocno jąkała się że można było uważać ją za niemę i starego ślepego odźwiernego.

Odźwierny nie wiele miał do czynienia, gdyż raz tylko na rok otwierał bramę i to jednemu wyłącznie jegomości, który przychodził do nas aby pogłaskać mnie pod brodę i rozmawiać z moją ochmistrzą w narzeczu biskajskim którego ja wcale nierozumiem. Na szczęście umiałam już mówić gdy zamknięto mnie w zamku de Sombre-Roche, inaczey nigdy nie byłabym się nauczyła z dwoma

towarzyszkami mego więzienia. Co się tyczy naszego odźwiernego, widziałam go tylko kiedy podawał nam obiad przez jedyne nasze kratowane okno. Wprawdzie moja głucha ochmistrzyni niekiedy krzyczała mi nad uszami jakieś nauki moralne, ale tyle je rozumiałam jak gdybym była równie głuchą jak ona, gdyż mówiła mi o powinnościach małżeńskich, nie tłumacząc nigdy co to jest małżeństwo. Prawiła mi nie raz i o innych rzeczach, ale nigdy nie chciała mi dać żadnego wyjaśnienia. Często też jakliwa służąca usiłowała opowiedzieć mi jaką historję, o której zabawności mnie zapewniała, ale nie mogąc nigdy dojść do drugiego peryodu, nareszcie zaprzestała i początku, i odchodziła jękając wymówki które równie trudno jej szły jak cała historia.

Powiedziałam ci że miałyśmy jedno tylko okno, czyli że jedno tylko wychodziło na podwórzec zamkowy, inne otwierały się na drugie podwórze zasadzone kilku drzewami przedstawiającemi ogród i którego jedyne wyjście prowadziło do mego pokoju. Pielęgnowałam tam niektóre kwiaty i to było całą moją zabawą. Mylę się, miałam jeszcze jedną, równie niewinną zabawę. Było to wielkie zwierciadło w którym przeglądałam się

każdego poranku a nawet jak tylko wstawiałam z łóżka. Moja ochmistrzyni również w lekkim ubraniu przychodziła przeglądać się i bawiłam się porównaniem jej postaci z moją. Oddawałam się także tej rozrywce przed pójściem na spoczynek, gdy moja ochmistrzyni głęboko już spała. Czasami wyobrażałam sobie, że widzę w zwierciadle towarzyszkę mego wieku która odpowiadała na moje poruszenia i dzieliła moje uczucia. Im więcej oddawałam się złudzeniu, tem bardziej ta igraszka mnie bawiła.

Mówiłam ci już o pewnym jegomości, który raz na rok przybywał do zamku, głaskał mnie pod brodę i rozmawiał w narzeczu biskajskim z moją ochmistrzynią. Pewnego dnia ten jegomość, zamiast wzięcia mnie za brodę, wziął za rękę i zaprowadził do karety z okiennicami w której zamknął mnie z moją ochmistrzynią. Śmiało mogę rzec że zamknął nas, gdyż światło dochodziło tylko z góry.

Wyszliśmy z niej trzeciego dnia, albo raczej trzeciej nocy, już bowiem było dobrze późno gdy stanęliśmy u celu naszej podróży. Jakiś nieznajomy otworzył drzwiczki od karety i rzekł: « Oto jesteście na placu Bellecour, przy wejściu na ulicę St. Ramond, ten

zaś dom na rogu należy do radcy de la Jacquière, gdzież teraz chcecie aby was zawieziono? —

«Każ zajechać w pierwszą bramę za domem radcy,» odpowiedziała moja ochmistrzyni.

Tu Tybald natężył całą uwagę, gdyż wistocie sąsiedował z pewnym szlachcicem nazwanym panem de Sambre-Roche, który uchodził za niesłychanie zazdrosnego i kilkakrotnie chępił się przed nim, że mu pokaże jakim sposobem można mieć wierną żonę i że wychowywał w zamku swoim powabne dziewczę, które poślubi i przekona o prawdzie swego zdania; ale młody Tybald wcale nie wiedział żeby dziewczę znajdowało się w tej chwili w Lyonie i mocno cieszył się że je do swoich rąk dostał. Tymczasem Orlandyna tak dalej mówiła:

Zajechaliśmy więc do bramy, zkąd zaprowadzono nas do obszernych i bogatych komnat, ztamtąd zaś kręconemi schodami do wieży z której zdawało mi się że możnaby widzieć przy dniu całe miasto; ale myliłam się, w dzień nawet niepodobna było nic dostrzedz gdyż gęste zielone sukno zasłaniało okna. Natomiast wieża oświetloną była zło-

conym kryształowym pajakiem. Ochmistrzyni moja posadziła mnie na krześle i dała swój różaniec do zabawy, sama zaś wyszła i zarygłowała drzwi za sobą.

Gdy zostałam samą, porzuciłam różaniec, wzięłam nożyczki które miałam u pasa i rozciąłam zielone sukno zasłaniające mi okno. Wtedy ujrzałam obok drugie okno, a tem oknem rześisto oświetloną komnatę w której siedziało u stołu dwoje młodych dziewcząt i trzech młodych ludzi, piękniejszych niż można sobie wyobrazić. Śpiewali, pili, śmieli się i umizgali do dziewcząt, czasami nawet głaskali je pod brody ale z całę odmiennym wyrazem twarzy niż pan de Sambre-Roche, który jednak po to tylko przyjeżdżał do naszego zamku. Nadto młodzi ludzie poglądali na swoje towarzyszki szczególniejszym wzrokiem, dziewczęta zaś uśmiechały się do nich, podobnie jak ja niegdyś do siebie samej przed zwierciadłem. —

Na te słowa Tybald poznał że chodziło o wieczerzę którą wczoraj wyprawił był swoim przyjaciółom, objął więc ręką wysmukłą kibię Orlandyny i przycisnął ją do serca.

Tak samo czynili ci młodzi ludzie, — mówiła dalej Orlandyna — w istocie, zdaje mi

się że musieli się nadzwyczajnie kochać. Nareszcie jeden z biesiadników, napełnił swoją czarę winem, przytknął ją do ust swojej sąsiadki, następnie wychylił duszkiem i pocałował jedną z dziewczyn w same usta. Ciekawość moja coraz wzrastała, gdy nagle drzwi otworzyły się; poskoczyłam szybko do mego różańca, ochmistrzyni bowiem wchodziła.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do karety która nie była już tak zamkniętą jak wczorajsza i gdyby noc nie była tak ciemną, byłabym mogła dokładnie widzieć cały Lyon, ale tak uważałam tylko że jesteśmy gdzieś bardzo daleko i wkrótce minęliśmy mury miasta. Zatrzymaliśmy się przy ostatnim domu przedmieścia. Na pozór była to zwyczajna chata, strzechą nawet pokryta; ale wewnątrz jej całkiem było odmienne, jak się pan sama o tem przekonasz, jeżeli mały murzynek nie zapomniał drogi, widzę bowiem że dostał światła i zapalił latarnią. —

Na tem Orlandyna skończyła swoją historię. Tybald pocałował ją w rękę i rzekł: «Racz piękna zablakana, powiedziec mi czy sama mieszkasz w tej chatce?»

«Zupełnie sama, — odrzekła nieznajoma —

z ochmistrzynią tylko i tym małym murzyńkiem. Ale nie sądzę żeby pierwsza mogła dziś wrócić do domu. Pan, który przyjeżdżał głaskać mnie pod brodę, kazał mi przyjść z nią do swojej siostry, ale nie mógł przysłać karety, posłał ją bowiem po księdza.

Poszłyśmy więc piechotą. Ktoś zatrzymał nas na ulicy aby nam powiedzieć że znajdował mnie piękną. Glucha ochmistrzyni sądziła że dopuszczał się grubijaństwa i zaczęła mu odpowiadać. Nadeszło wiele ludzi i wmieszało się do sprzeczki. Przeleklam się i jęłam uciekać co siły; murzynek pobiegł za mną, upadł i stłukł latarnię; sama niewiedziałam co począć, gdy na szczęście spotkałam pana.» —

Tybald zachwycony prostotą tego opowiadania, brał się znowu do umizgów, gdy wtem murzynek przyniósł zapaloną latarnię, której światło padło na twarz Tybalda. «Co widzę, — krzyknęła Orlandyna — ten sam który pocałował tę piękną dziewczynę!»

«Najniższy sługa, — odparł Tybald — wszelako możesz być pewną, moja luba, że pomimo tego samowładnie zapanujesz w mem sercu.»

«Jako?... zdawałeś się przecież tak ko-

chać te trzy dziewczęta, » przerwała Orlandyna.

« Tem więcej jeden dowód że żadnej nie kochałem, » rzekł Tybald

I tak ona mu szczebiotała i tak on do niej się przymilał, że sami nie wiedząc kiedy zaszli na koniec przedmieścia do opuszczonej chatki, której drzwi murzynek otworzył kluczem wiszącym mu u pasa. Koberce flamandzkie tkane w różne wzory osób zdających się oddychać, pokrywały ściany. U sufitu wisiały pajaki z gałęziami ze szczerzego srebra. Wygodne krzesła z genueńskiego axamitu, ozdobione złotymi frendzlami, hebanem i stoniową kością, stały obok sprężystych sof powleczonej morą wenecką. Tybald na to wszystko jednak nie zważał, widział tyłką Orlandynę i oczekiwał rozwiązania dziwnej przygody.

Śród tego, murzynek przyszedł nakryć do stołu i Tybald wtedy dopiero spostrzegł że nie było to dziecko, jak z razu sądził, ale stary czarny karzeł obrzydliwej postaci. Wszelako mały człeczek przyniósł rzeczy które wcale nie były brzydkie. Naprzód wielki złożony półmisek na którym kurzyły się cztery kuropatwy, smakowite i wybornie przyrządzone,

pod pachą zaś niósł flaszkę alikantu. Zaledwie Tybald podjadł i napił się, wnet uczul jak gdyby ogień krążył mu po żyłach. Co do Orlandyny ta mało jadła ale ciągle poglądała na swego współbiednika, raz rzucając mu czule i niewinne wejrzenia, to znowu wpatrując się weń tak złośliwemi oczyma, że młodzieniec mieszał się wyraźnie.

Nakoniec murzynek przyszedł sprzątnąć ze stołu, wtedy Orlandyna wzięła Tybalda za rękę i rzekła: « Na czemże mój luby, spędzimy ten wieczór? » Tybald nie wiedział co na to odpowiedzieć.

« Przychodzi mi pewna myśl, — mówiła dalej — widzisz to wielkie zwierciadło, chodźmy stroić w niem miny jak to niegdyś czyniłam w zamku Sombre-Roche. » Orlandyna przysunęła krzesło, posadziła Tybalda i zaczęła doń uśmiechać się w zwierciadle. Następnie gładziła mu czoło, bawiła z pierścieniami jego włosów, wreszcie zarzuciła mu śnieżne ramiona na szyję i przytuliła do piersi. Tybald odchodził od zmysłów, zaćmiło mu się w oczach, krew biła w nim gwałtownie, upojony nieopisaną rozkoszą objął kibić zachwycającej istoty; ale w tej chwili doznał uczucia jak gdyby kto szpony zapuszczał mu

w szyję. «Orlandyno! — zawołał — Orlandyno, co to ma znaczyć?..»

Niebyło już Orlandyny; Tybald ujrzał w jej miejscu okropne, nieznane mu dotąd kształty. «Jam nie Orlandyna, — krzyknął potwór straszliwym głosem — jam Lucyper!..»

Tybald chciał wezwać Zbawiciela na pomoc, ale szatan który odgadł jego zamiśl, schwycił go zębami za gardło i niepozwoił wymówić tego świętego nazwiska.

Nazajutrz wieśniacy idący na targ do Lyonu, usłyszeli w opuszczonej rozwalinie, która służyła za kostnicę, jęki i narzekania. Weszli i znaleźli Tybalda leżącego i trzymającego w objęciach kościotrupa. Wzięli go, zanieśli do miasta i nieszczęśliwy de la Jacquièrę poznał swego syna.

Położono go w łóżko, wkrótce Tybald zdawał się przychodzić do zmysłów i słabym i prawie niezrozumiałym głosem rzekł: «Otwórzcie drzwi temu świętemu pustelnikowi, otwórzcie czempredzej.» Z początku nie rozumiano go, otworzono jednak drzwi i ujrzano wchodzącego szanownego zakonnika który rozkazał aby go zostawiono sam na sam z Tybaldem. Uczyniono zadość jego żądaniu i drzwi za nim zamknięto.

Długo słyszano jeszcze napominania pustelnika na które Tybald odpowiadał mocnym głosem: «Tak jest mój ojcz, żałuję za grzechy i całą nadzieję pokładam w miłosierdziu Boskiem.» Wreszcie gdy wszystko ucichło otworzono drzwi. Pustelnik znikł, Tybald zaś leżał umarły z krucyfiksem w rękach.

Zaledwie skończyłem tę historię gdy wszedł kabalista i zdawał się chcieć wyczytać z moich oczu wrażenie jakiego doświadczyłem. Wprawdzie przygody Tybalda mocno mnie zadziwiły, ale nie chciałem tego pokazać i odszedłem do siebie. Tu znowu zacząłem zagłębiać się nad własnymi wypadkami i prawie dawać wiarę, że szatany dla złudzenia mnie ożywiły trupy dwóch wisielców i że kto wie czy niebyłem drugim Tybaldem.

Zadzwoniono na obiad, kabalista nie przyszedł do stołu, wszyscy zdawali się być roztargnionymi, może dla tego że sam nie mogłem zebrać myśli.

Po obiedzie wyszedłem na taras. Cyganie z całym obozem znacznie już byli oddalili się od zamku. Niepojęte cyganki wcale się nie ukazały; tymczasem noc już zapadła i uda-

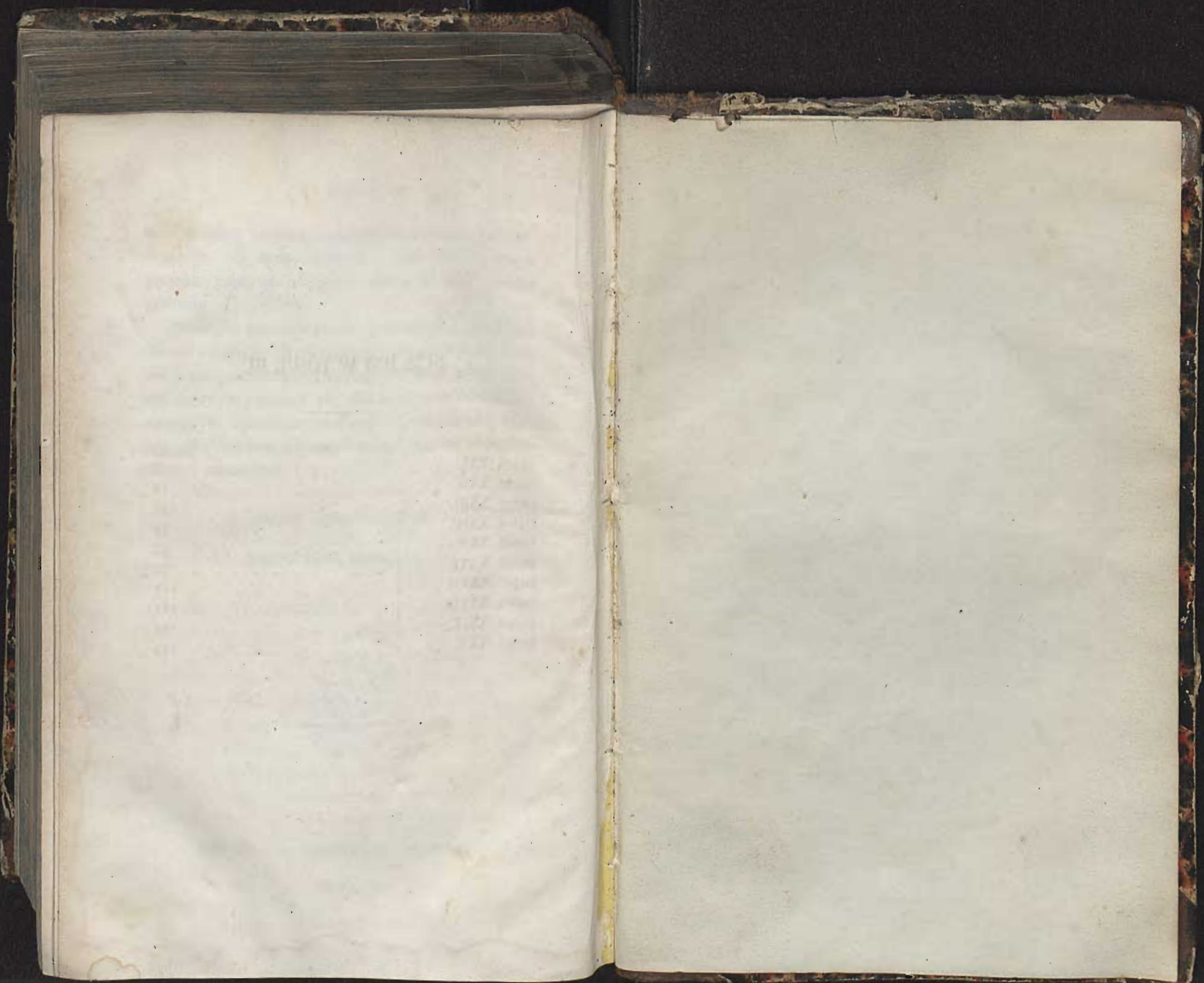
lem się do mojej komnaty. Długo czekałem na Rebekę, ale tym razem napróżno i nareszcie usnąłem.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

SPIS DNI W TOMIE I.

| | Strona |
|--------------------------|--------|
| Dzień I. Wstęp | 4 |
| Dzień II. | 35 |
| Dzień III. | 53 |
| Dzień IV. | 89 |
| Dzień V. | 97 |
| Dzień VI. | 117 |
| Dzień VII. | 143 |
| Dzień VIII. | 163 |
| Dzień IX. | 175 |
| Dzień X. | 199 |



23180



481704

2069054x

Cim